PL ISSN 0867-0404
Nr indeksu 365661

magazyn 997 kryminalny

• NR 23 (2014) • 3 XII 1995 r. • Cena 1 zł 40 gr (14 000 zł) •

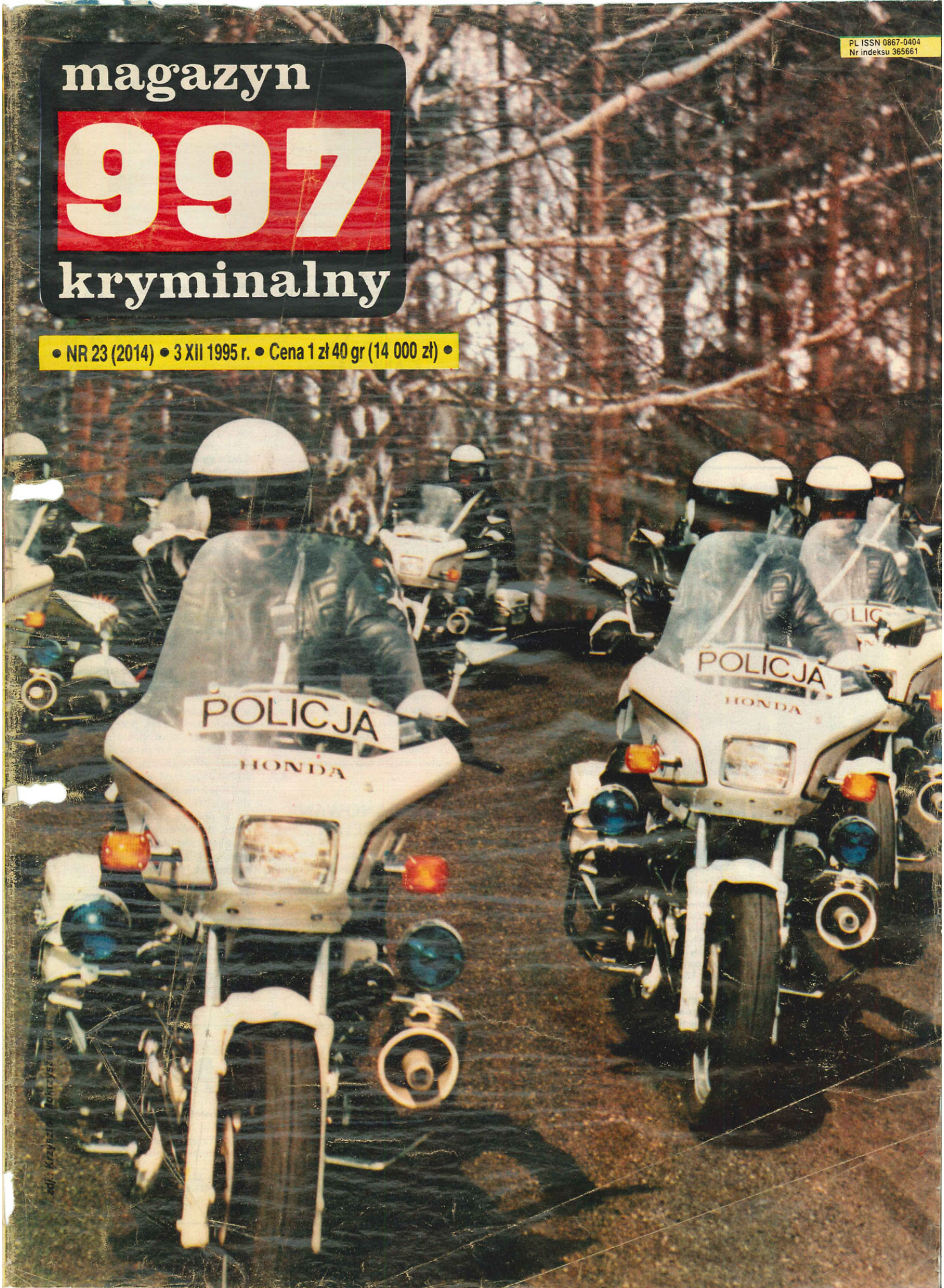

NIEPOTRZEBNY ZAMĘT

Pod koniec października br. w części niemieckich mass mediów, w tym na łamach poczytnego tygodnika „Der Spiegel", opublikowano informacje oparte na przeciekach z Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji na temat rzekomej działalności wywiadowczej polskich służb specjalnych na terytorium RFN. Podkreślano zwłaszcza, jakoby 25 pracowników Ambasady RP w Kolonii było oficerami polskiego wywiadu.

W związku z tym faktem otrzymaliśmy wspólne oświadczenie rzeczników prasowych MSZ i MSW: Pawła Dobrowolskiego i Piotra Szczypińskiego, którzy stwierdzają m.in.: „Zbieżność w czasie publikacji na ten temat w różnych wydawnictwach może świadczyć o zamierzonej akcji propagandowej, której cele pozostają dla strony polskiej niezrozumiałe. Tego rodzaju nonsensowne „informacje" nie tylko mijają się z prawdą, ale nie odpowiadają też atmosferze stosunków dwustronnych, jaka istnieje obecnie między RP a RFN. Nie mogą zatem sprzyjać ich wszechstronnemu, konstruktywnemu rozwojowi.

Dążeniem strony polskiej i niemieckiej było i jest współdziałanie we wszystkich możliwych płaszczyznach. Stąd też niemieckie i polskie służby specjalne nawiązały i prowadzą partnerską współpracę, m.in. za pośrednictwem biur łącznikowych, które zostały do tego celu utworzone przy ambasadach obu państw. Służby polskie i niemieckie współpracują ze sobą w zwalczaniu zagrożeń globalnych, takich jak: terroryzm, zorganizowana przestępczość, pranie brudnych pieniędzy. Potwierdzeniem bardzo dobrze rozwijającej się współpracy były tegoroczne, oficjalne wizyty ministra spraw wewnętrznych A. Milczanowskiego, szefa UOP gen. G. Czempińskiego i Dyrektora Zarządu Wywiadu UOP płk. B. Libery w Niemczech.

Pragniemy podkreślić, że strona polska całkowicie wywiązuje się z przyjętych zobowiązań i uzgodnień. Mamy nadzieję, że tego samego zdania są odpowiednie instytucje niemieckie".

(M)

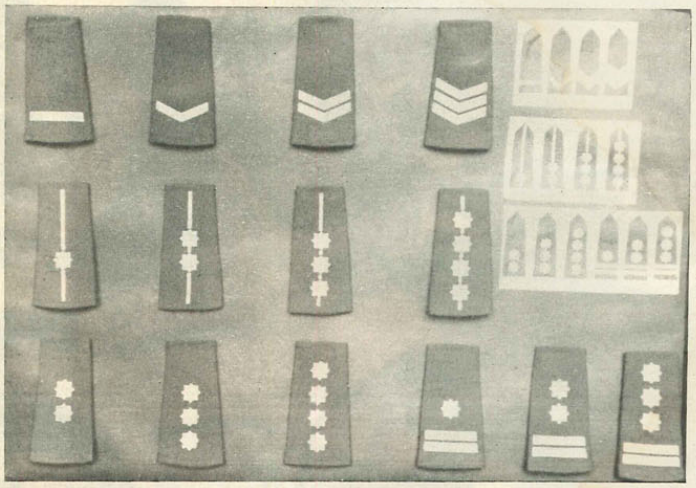

NOWE DYSTYNKCJE POLICYJNE

Nowelizacja ustawy o Policji rozszerzyła liczbę stopni służbowych w tej formacji. Zlikwidowała zarazem dwoistość stopni (w oddziałach prewencji oraz pododdziałach antyterrorystycznych obowiązywały stopnie i dystynkcje typu wojskowego). Nowe stopnie weszły w życie 12 października br.

Wraz z nowymi „rangami" zmieniły się również policyjne dystynkcje. Otrzymały obecnie kolor ciemnogranatowy, który przewidziano w projekcie nowych mundurów. Przypominają dystynkcje stopni wojskowych, z tym że pięcioramienną gwiazdkę zastąpiła gwiazdka ośmioramienna. Nowe dystynkcje (haftowane komputerowo) będą bardziej czytelne od dotychczasowych. Przynajmniej dla osób, które odbywały służbę wojskową.

Na zdjęciu w pierwszym rzędzie od góry dystynkcje policyjne: starszy posterunkowy oraz podoficerskie: sierżant, starszy sierżant, sierżant sztabowy.

W rzędzie środkowym dystynkcje w korpusie aspirantów: młodszy aspirant, aspirant, starszy aspirant, aspirant sztabowy.

W dolnym rzędzie dystynkcje oficerskie: podkomisarz, komisarz, nadkomisarz, podinspektor, młodszy inspektor, inspektor.

Na zdjęciu brakuje dystynkcji generalskich: nadinspektora (gwiazdka i wężyki) i generalnego inspektora Policji (dwie gwiazdki i wężyki).

MAT

zdj. K. Potocki

Panu Lechowi Terpiłowskiemu
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
MATKI
składa zespół redakcyjny „MK 997" i „GP"

WYBÓR ZDARZEŃ KRYMINALNYCH pod redakcją MARCELA TABORA

STÓJ, POLICJA!

WPADŁ GANGSTERSKI MAGAZYN

7 listopada policjanci z Biura ds. Walki z Przestępczością Zorganizowaną Komendy Głównej Policji odkryli w Wesołej pod Warszawą magazyn broni i materiałów wybuchowych. Na terenie jednej z posesji odnaleziono m.in. broń automatyczną, plastyczny materiał wybuchowy, zapalniki. Przechowywano tam także kilkaset egzemplarzy fałszywych i przerobionych dokumentów, przedmioty i wyposażenie do legalizacji kradzionych samochodów itp.

Policja nie wyklucza, że odnalezione podczas przeszukań kamienie szlachetne i dzieła sztuki pochodziły z napadów na terenie całej Polski. Od kilku dni trwają działania operacyjne, mające ustalić zasięg działania grupy, oraz zidentyfikować źródło pochodzenia odnalezionych w jej kryjówce przedmiotów.

Prokurator zadecydował o zastosowaniu aresztu tymczasowego wobec właściciela posesji Jacka P.

A.P.

STARANOWANA KARETKA

Napady na drogach dokonywane są w różny sposób. Niewielu jednak dotąd próbowało staranować drugi pojazd, by ograbić jego pasażerów.

Karetka pogotowia z Zespołu Opieki Zdrowotnej w Więcborku (woj. bydgoskie) zbliżała się do zakrętu w pobliżu wsi Zboże, gdy z pobocza drogi ruszył na nią ciężarowy star. Jego kierowca z pełną świadomością kierował się na osobowego fiata 125p, w którym oprócz kierowcy jechały trzy osoby: dwie kasjerki z ZOZ oraz ubezpieczający je pracownik agencji ochrony. Kasjerki pobrały z banku w Sępólnie Krajeńskim około miliarda złotych z przeznaczeniem na wypłaty dla pracowników i inne świadczenia. Pieniądze włożyły do plastykowej reklamówki.

Kierowca karetki usiłował w ostatnim momencie ratować się przed zderzeniem, uciekając na pobocze. Nie zdążył. Rozpędzona ciężarówka uderzyła w bok fiata, zgniatając jego karoserię. Karetka stoczyła się do rowu. W rozbitym doszczętnie pojeździe śmierć na miejscu poniosła jedna z kasjerek, 34-letnia Elżbieta M. Pozostałe osoby doznały ciężkich obrażeń.

W chwilę po wypadku z kabiny stara wyskoczył jego kierowca. Na twarzy miał czarną kominiarkę. Widząc, że jadący karetką ludzie nie dają znaku życia, chciał zabrać torbę z pieniędzmi. W tym momencie padł strzał, potem drugi. Ochroniarz, choć poważnie ranny, zdołał sięgnąć po broń i oddać strzały ostrzegawcze, po czym pistolet wymierzył w bandytę. Ten wolał już nie ryzykować. Rzucił się do ucieczki, w stronę oczekującego w pobliżu czerwonego poloneza, za którego kierownicą siedział jego wspólnik.

Już w kilkanaście minut po napadzie na miejscu zdarzenia pojawiła się policja. Ustalono, że ciężarowy star został skradziony w pobliskim Wojnowie, a polonez poprzedniej nocy w Nakle.

Tego samego dnia po południu, na wniosek KRP w Sępólnie Krajeńskim prokurator rejonowy aresztował tymczasowo 31-letniego mieszkańca Inowrocławia, po-

Wkrótce w sprzedaży
23 numer
„Gazety Policyjnej"

Gazeta policyjna

Polecamy w nim: jednolity tekst znowelizowanej ustawy o Policji (Część III)

Dla zainteresowanych — egzemplarze „GP" z ustawą (od nr. 20 do 23) do nabycia w redakcji. Zamówienia i potwierdzenia wpłaty 50 gr za egzemplarz prosimy przysyłać pod adresem:

Redakcja Czasopism Policyjnych, Warszawa 12, ul. Domaniewska 36/38, nr konta BPH III/O Warszawa nr 320049-433-130-1, fax 601-68-67

dejrzanego o dokonanie napadu rabunkowego na konwój pieniędzy dla ZOZ w Więcborku. Napadu, w wyniku którego zginął niewinny człowiek.

J.Pac.

Z PROCY W SZYBY

13 listopada br. w godzinach popołudniowych w rejonie ul. Chełmskiej w Warszawie nieznani sprawcy wybili szyby w dwóch autobusach MZA. W zasadzie wykluczono użycie jakiejkolwiek broni palnej, natomiast skoncentrowano się na ustaleniu sprawców tego czynu wśród nieletnich, którzy mogli dopuścić się go, używając do tego celu chociażby zwykłej procy. Jedna z osób dorosłych wskazała policjantowi, że w pobliskiej szkole widziała chłopców, którzy w ostatnim okresie mieli to urządzenie.

Początkowo wszyscy wykręcali się, ale w miarę upływu czasu przyznali, że zabawiali się w rejonie Instytutu Szczepionek strzelaniem do butelek. Szybko im się to znudziło i za obiekt wybrali sobie szyby w oknach wspomnianej już instytucji. Również i ten rodzaj „rozrywki" im się znudził. Padła propozycja strzelania do autobusów. Jak się okazało, niektóre strzały były celne.

Zatrzymani chłopcy przyznali się do tego, że używali końcówek widiowych, w które zaopatrywali się w pobliskim sklepie z narzędziami i częściami. Początkowo kupowali tam nakrętki, kulki i wspomniane końcówki. Sprzedawca jednak zorientował się do czego mogą służyć i odmówił ich sprzedaży. W tej sytuacji skradli je.

O losie wszystkich chłopców zadecyduje sąd rodzinny.

WiT

UNA HORA ULTIMA*

— Która godzina?

— A to zobacz sobie synku sam — mężczyzna na rauszu nie chciał kłopotać się określaniem położenia wskazówek na cyferblacie. Wyciągnął rękę w stronę pytającego młokosa. Chłopak, widząc błyszczący przedmiot, nie zastanawiając się ani chwili, kopnął z całej siły w głowę rozmówcy. Mężczyzna spadł z murka, na którym siedział, zalewając się krwią. Napastnik poprawił jeszcze parokrotnie swój pierwszy cios. Nieprzytomna ofiara nie broniła się. Nastolatek przeszukał kieszenie leżącego, ale nie znalazł w nich nic wartościowego. Później zdjął mu z ręki zegarek — ten okazał się tandetną imitacją znanej marki. Poirytowany chłopak cisnął go w trawę trzy metry od miejsca, w którym pozostawił obrabowanego.

Tego samego dnia policja w Bolesławcu otrzymała zgłoszenie, że przy ulicy Zgorzeleckiej leży jakiś mężczyzna. Nie żył, gdy na miejscu pojawił się radiowóz. Przy zmarłym nie znaleziono żadnych dokumentów, pozwalających na jego identyfikację. Wyraźnie widoczne ślady pobicia i przeszukiwania kieszeni jednoznacznie określały przyczynę jego śmierci. Dzięki dobremu rozpoznaniu środowiskowemu do wieczora ustalono i tożsamość denata, i prawdopodobnych sprawców. Początkowo było ich dwóch: piętnastoletni Andrzej G. i o rok starszy od niego Artur C. — obaj z tej samej szkoły w Bolesławcu. O ile jednak młodszy miał spore kłopoty ze zrelacjonowaniem przebiegu wydarzeń, o tyle starszy uczynił to bardzo precyzyjnie, obciążając swego kolegę. Prowadzącym dochodzenie policjantom wydało się to nieco dziwne. I słusznie. W końcu okazało się, że młodszy z chłopców nie ma o niczym pojęcia, został jedynie poproszony przez Artura C. o danie mu alibi. Tak też próbował uczynić. Starszy kolega tymczasem całą winę przypisał swemu „obrońcy".

Artur C. pochodzi z patologicznej rodziny. Wychowuje go chora psychicznie babcia, matka pracuje bowiem w domu publicznym w Niemczech (z czego zresztą chłopak jest nad wyraz dumny). Jest nieźle znany policji, gdyż — począwszy od czwartej klasy — niejednokrotnie zabierany był ze szkoły podstawowej w stanie upojenia alkoholem.

Przek.

Una hora ultima — „jedna z godzin ostatnią", rzymska sentencja wypisywana na nagrobkach.

NIEFORTUNNI RABUSIE

Dla rekieterów — nie tylko tych zza wschodniej granicy — polskie szosy pozostają głównym terenem przestępczej działalności. Praktyka wykazuje, że jeżeli ofiara napadu w porę powiadomi policję, sprawcy nie muszą być nieuchwytni.

25 października br. jadący nysą po towar do Lublina obywatel ukraiński Konstantin K., zabrał w Chełmie czterech pasażerów — rodaków. Około godz. 5.00 rano samochód minął miejscowość Pałów i jeden z pasażerów poprosił o zatrzymanie się „za potrzebą" w przydrożnym lesie.

Gdy 48-letni Konstantin K. zatrzymał nysę, jeden z pobratymców oddał do niego kilka strzałów z pistoletu. Napastnicy przekonani, że kierowca nie żyje, zrabowali mu gotówkę w kwocie 800 zł, 928 USD i 13 mln ukraińskich karbowańców, po czym zbiegli z miejsca zdarzenia.

Ciężko ranny w kark Konstantin K. dowlókł się do najbliższej chłopskiej zagrody, ale domownicy wystraszyli się widząc zakrwawionego cudzoziemca i odmówili mu pomocy.

Dopiero w położonej nieco dalej leśniczówce Ukraińca opatrzono, wezwano pogotowie ratunkowe i odwieziono rannego do szpitala w Krasnymstawie.

Już w niecałe 4 godziny po zdarzeniu, policjanci z KRP w Chełmie, na podstawie przekazanych im rysopisów, zatrzymali na przejściu granicznym Hrebenne — Rawa Ruska 4 obywateli ukraińskich, którzy poruszali się samochodem marki Łada. Podejrzanymi o napad z bronią w ręku okazali się: 25-letni Jurij R. i Igor L., 31-letni Siergiej S. oraz liczący 36 lat Siergiej K. Przy jednym z zatrzymanych ujawniono skradzione dolary, złotówki i karbowańce oraz pistolet z tłumikiem typu Walther, w którym pozostały 2 naboje.

Bandytów prześladował pech, gdyż, jak się później okazało, w pośpiechu „posiali" wewnątrz nysy zapasowy magazynek do walthera z 6 nabojami.

*

30 października br., ok. godz. 23.00, do jadącego trasą Dorohusk — Brześć autokaru wiozącego ukraińskich turystów, podjechał samochód osobowy marki BMW, który wyprzedził autobus, nakazując kierowcy zatrzymanie się. Kierowca z Ukrainy nie usłuchał wezwania i dodał gazu. Widząc to, jeden z pasażerów BMW ostrzelał nieposłusznego Ukraińca z pistoletu.

Kierowca autokaru powiadomił o zdarzeniu najbliższy patrol policji. Niedługo potem zatrzymano BMW i jego trzech pasażerów: dwóch obywateli Niemiec i jednego Polaka, uzbrojonego w broń gazową typu Colt, kal. 9 mm.

Wobec domniemanych rekieterów, usiłujących zatrzymać autokar, KRP w Chełmie prowadzi postępowanie wyjaśniające, natomiast trzej Ukraińcy — niedoszli zabójcy Konstantina K. (czwarty zatrzymany na granicy nie brał udziału w napadzie) — zostali tymczasowo aresztowani.

W.G.

W STYLU SYLVESTRA STALLONE

Na wchodzącą do Banku Spółdzielczego w Szypliszkach (woj. suwalskie) kasjerkę napadło czterech młodych mężczyzn. Grożąc kobiecie pistoletem zabrali jej po krótkiej szamotaninie torbę zawierającą 100 tys. nowych złotych. Towarzyszącemu kasjerce funkcjonariuszowi Oddziału Celnego w Budzisku wypalili w twarz z gazowca, po czym unosząc łup odjechali polonezem. W pościg za nimi ruszyło prywatnym volkswagenem dwóch policjantów z miejscowego komisariatu. Sprawców — którzy po drodze przesiedli się do opla kadetta — doścignęli w miejscowości Wiatrołoża. Kierowca został zatrzymany na miejscu. Trzej pozostali ostrzeliwując się uciekali przez pola. Ścigał ich jeden z funkcjonariuszy. Policjant wyczerpawszy limit ostrzeżeń i strzałów ostrzegawczych, dał ognia prosto do uciekinierów. Dwóch zostało zranionych, jeden w biodro, drugi w udo. Padli na ziemię. Czwarty z gangsterów sterroryzował pracującego w polu rolnika i grożąc zastrzeleniem go zmusił funkcjonariusza do zaprzestania pościgu. Następnie razem z zakładnikiem odjechał traktorem, zwalniając ofiarę po przejechaniu kilku kilometrów.

Po przybyciu posiłków z KRP Suwałki, rannych bandytów przewieziono do szpitala, natomiast kierowca, a zarazem właściciel opla 22-letni Dariusz W. powędrował do aresztu. Następnego dnia zatrzymano czwartego ze sprawców w jego suwalskim mieszkaniu.

P. Kit.

UWAGA CZYTELNICY!

Już ostatni moment na zaprenumerowanie „Magazynu Kryminalnego 997" w I kwartale 1996 r. Pilnie zgłoś się do kolportera w jednostce policyjnej!

Miło nam poinformować, że już od 1 numeru będziemy drukować nasze czasopismo w nowej atrakcyjniejszej technice, co oznacza lepszą jakość zdjęć i druku, a także wygodniejszy format. Sądzimy, że zmiany te zadowolą naszych stałych Czytelników i przysporzą nowych. Ponieważ chcemy spełnić Wasze oczekiwania, prosimy o uwagi i propozycje.

UWAGA!

Od nowego roku „Magazyn Kryminalny 997" w nowej szacie graficznej

Reklama w naszych czasopismach jest SKUTECZNA i BEZPIECZNA (promujemy tylko sprawdzonych i rzetelnych)

Spiesz się,

bo cena za swoisty certyfikat Komendy Głównej Policji jest niewygórowana.
Przyjmujemy zamówienia na artykuły sponsorowane i kompleksową usługę reklamową.

Nie zwlekaj!

Zgłoś się do Redakcji

tel. 60-161-15, 60-161-26
fax 60-168-67

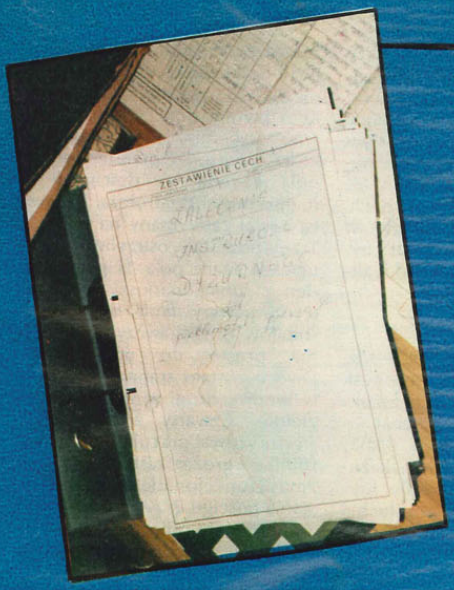

Okazało się, że pijany mężczyzna wychodząc z posesji od teściowej, nie zamknął za sobą furtki. 3-letni chłopczyk wydostał się więc z podwórka i pobiegł za tatusiem...

W KOMPANII POGOTOWIA

także nie godziny pracy są największą uciążliwością, chociaż Święta Bożego Narodzenia w domu wypadają raz na... 8 lat! — jak wyliczył dowódca plutonu st. sierż. Tadeusz Olczyk. No bo skoro system pracy wygląda następująco: przez dwa kolejne dni praca od rana, dwa następne na noc, kolejne dwie służby na popołudnie i wreszcie

BOMBY i INDYKI

Dyżurują przez 12 godzin w dzień, potem mają 24 godziny przerwy, przychodzą na noc, 12 godzin dyżuru i 48 godzin przerwy. I tak na okrągło. Takich pojęć, jak: „weekend" czy „wolna sobota" nikt tu nie zna. Ale nie to jest największą uciążliwością, na jaką uskarżają się

DYŻURNI

Biurokracja i papierkomania dotarły i tutaj. Dzisiaj dyżurny, kiedy udaje się na odprawę, zabiera ze sobą całe stosy dokumentów.

— Proszę — pokazuje nam st. sierż. Edward Zatorski, pomocnik dyżurnego w Komendzie Rejonowej Policji w Piotrkowie Trybunalskim — oto one: książka wydarzeń, książka kontroli osób zatrzymanych, książka telefonogramów (przychodzących, wychodzących i przekazywanych), książka służby komisariatów, książka sprawdzeń pojazdów, książka zestawienia służby, rejestry... (nie nadążyłem z notowaniem).

— A przecież tu cały czas coś się dzieje — dodaje dyżurny st. sierż. Sławomir Orzechowski. — Proszę bardzo:

● 7.00 — zgłoszenie włamania do sklepu spożywczego w Wolborzu. Sprawcy przecięli kłódki, wyłamali zamki i skradli alkohole, papierosy, czekolady. Posłaliśmy radiowóz z ekipą, włącznie z przewodnikiem psa tropiącego.

● 7.30 — wypadek na trasie E-67, prowadzącej do Warszawy. Kierująca fiatem 126p wyjechała z bocznej drogi wprost pod rozpędzonego forda transita. Doznała urazu głowy i kręgosłupa. Przewieziono ją do szpitala. Straty przekroczyły 100 mln starych zł.

● 10.20 — w Domu Rzemieślnika przy ul. Wojska Polskiego z szatni skradziono płaszcze i kurtki na szkodę uczestników kursu komputerowego.

● 10.55 — podczas prac melioracyjnych na peryferiach Piotrkowa operator koparki natknął się na metrowej długości bombę. Pochodzi najprawdopodobniej z okresu II wojny światowej. Świetnie zachowana, gotowa w każdej chwili do odpalenia. Radiowóz pojechał natychmiast. Wezwano Straż Miejską. Jej pracownicy będą pilnowali „wykopaliska" do 22.00. Potem przez całą noc będzie stał w pobliżu radiowóz. Saperzy z jednostki specjalnej Wojska Polskiego z Lublina przyjadą dopiero następnego dnia koło południa.

● O 13.00 zgłoszono włamanie do kwiaciarni, które miało miejsce poprzedniej nocy.

Zaraz potem telefonowano z „Budohurtu". Ktoś ukradł jakieś płyty budowlane. Na zdarzenie pojechał dyżurujący tego dnia w wydziale dochodzeniowo-śledczym KRP asp. Jacek Imielczyk. — Ciekawe, kto i jak wyniósł z zakładu ważące kilkadziesiąt kilogramów płyty? — mruczał pod nosem wychodząc. — No, oczywiście! Źle policzyli — mówił wracając.

Tymczasem przy alkomacie w KRP stał już młody mężczyzna. Przed chwilą potrącił trzyletnie dziecko na drodze. Najpierw zawiózł je do szpitala, miało złamaną kość uda. Potem odszukał matkę i ponownie udał się z nią do lecznicy. Na koniec sam przyjechał na komendę, by dmuchnąć w alkomat.

— Jechałem najwyżej 50 km na godzinę. Było to na peryferiach miasta. Przed samochodem przeszedł przez jezdnię mężczyzna, zaraz za nim wybiegło dziecko. Wprost pod moje koła.

dwa dni wolne. W tym systemie wolna sobota wraz z niedzielą wypada raz na 8 tygodni. Ale żeby te dwa wolne dni wypadły akurat w święta, trzeba czekać równo 8 lat.

Ich zadaniem jest zatrzymywanie sprawców kradzieży, włamań, osób doprowadzanych, poszukiwanych listem gończym, doręczanie wezwań (tak, tak, cały czas mowa tu o policjantach, a nie np. listonoszach) dla poborowych, nie stawiających się na rozprawy sądowe, do poradni zdrowia psychicznego itp., itd. No i, oczywiście, interwencje domowe stanowiące co najmniej 70 procent wszystkich innych interwencji.

— Te ostatnie to prawdziwa zmora — mówi st. sierż. Zbigniew Longwa, dowódca drużyny kompanii pogotowia. — Przeważnie telefonują kobiety. Krzyczą, żeby przyjechać, podają adres i rzucają słuchawką. Toteż tylko możemy się domyślać, po co jedziemy. Ponieważ jednak noc w izbie wytrzeźwień kosztuje w Piotrkowie 140 zł (milion c..lerysta starych), nie każda żona pijaka jest zainteresowana takim wydatkiem, bądź co bądź poniesionym kosztem

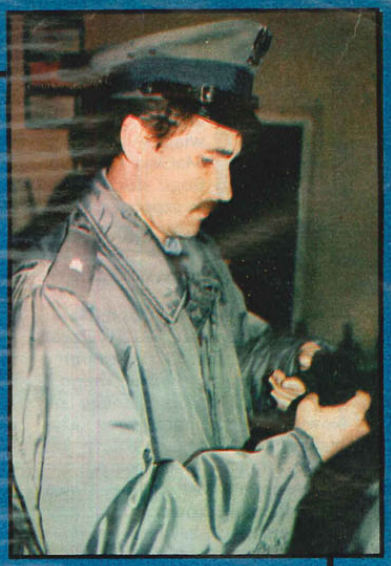

domowego budżetu. No więc, kiedy już przyjedziemy, wycofuje skargę albo następnego dnia pisze skargę na nas, że bezpodstawnie zatrzymaliśmy jej męża. Oszaleć można.

Tymczasem policjanci z pomotowia doprowadzają do komendy dziewczynę. Jak dotąd jej życiowym błędem stało się kupno koła zapasowego do malucha jej mamy. Koło to oferowane przez kolegę brata okazało się kradzione. Dziewczynie postawiono zarzut o paserstwo. Na rozprawę w sądzie nie stawiła się, ponieważ była chora. Ma zaświadczenie lekarskie. Przyjechała teraz właśnie z Łodzi (gdzie studiuje PRAWO! na 3 roku), by stawić się na drugi termin rozprawy w sądzie, wyznaczony na jutro. Tę noc spędzi jednak... w areszcie.

Tak się składa, że wcześniej zbierałem materiały w wydziale ds. przestępstw gospodarczych. Dowiedziałem się m.in. o panach prezesach spółek, którzy pod płaszczykiem prywatyzacji okradli państwo na grube miliardy starych zł. Chodzą sobie na wolności, dalej są prezesami tychże spółek i od dwóch lat sąd nie ma czasu, by się tym zająć. Tymczasem studentka 3 roku prawa, która specjalnie z Łodzi przyjechała na rozprawę w sprawie koła warłego 30, może najwyżej 50 nowych zł, noc spędza w areszcie...

DZIELNICOWI

mówili z kolei najczęściej o kłopotach z tą typową, klasyczną drobnicą, czyli o problemach rodzinnych, awanturach małżeńskich, zaniedbaniach opiekuńczych nad nieletnimi i o alkoholizmie.

Asp. Bogdan Redlich był właśnie w trakcie realizacji „sprawy". Do komendy przyjechała pani kierująca granatowym volkswagenem i złożyła skargę na... indyki. Chodzi o domowe ptactwo. Otóż zaparkowała samochód przy jednej z ulic w Piotrkowie, poszła załatwiać swoje sprawy, a kiedy wróciła, maska jej samochodu była porysowana pazurami indyków, które w Piotrkowie wprost uwielbiają biegać po samochodach.

— No i co mam zrobić? — pyta dzielnicowy. Nie przyjąć zawiadomienia? Pani napisze skargę i dopiero będę miał nieprzyjemności. Założyć sprawę przeciwko indykom?

Zaproponował udostępnienie swojej własnej pasty do polerowania karoserii. Obiecał, że ślady zaraz znikną. Właścicielka volkswagena nie zgodziła się. Oświadczyła, że nie chce zakładać żadnej sprawy, tylko zgłosić taki przypadek na policji. Dzielnicowy tłumaczył jej, że nie ma takiej procedury. Albo się zgłasza coś na policji ze wszelkimi tego konsekwencjami, czyli wszczęciem postępowania, albo nie. Pani od volkswagena przekonywała...

I tak trwało to jeszcze z godzinę.

Tymczasem inny dzielnicowy asp. Maciej Zielonka wybierał się właśnie na obchód. Za pas pakował jakieś wielkie i ciężkie urządzenie, pamiętające chyba jeszcze początki MO.

— To właśnie przez brak odpowiednich radiotelefonów odczuwam największe niebezpieczeństwo — powiedział. — My przecież chodzimy po mieście w pojedynkę. W razie jakiegolwiek zagrożenia, napaści radiostacja jest dla nas jedyną deską ratunku. Tylko że przestaje działać natychmiast po wyjściu poza obszar komendy. A o tej porze roku służbę patrolową pełnimy prawie stale już po zmierzchu. Oczywiście, na piechotę.

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI

zdjęcia
Krzysztof Mokrzyszewski

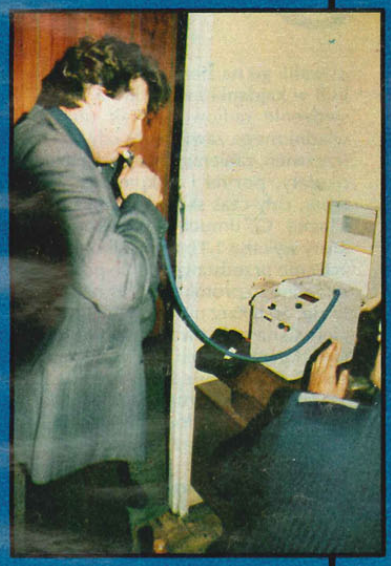

Ci wstrętni gliniarze

Niedawno w jednej z gazet ukazał się artykuł przedstawiający historię Macieja C., który Bogu ducha winny znalazł się w szponach policjantów-sadystów.

Wersja pokrzywdzonego

Według relacji dziennikarki przebieg wydarzenia wyglądał mniej więcej tak: Około północy Maciej C. wracał z klubu „Tango", gdy nagle z zaparkowanego na Nowym Świecie radiowozu usłyszał głos policjanta: — „Ty k... chodź tutaj!". Mężczyzna nie zareagował na zaczepkę i bez słowa poszedł dalej. Wówczas radiowóz z piskiem opon zajechał mu drogę. Wyskoczyło z niego dwóch policjantów, którzy błyskawicznie powalili go na ziemię, skopali, zakuli w kajdanki i wrzucili na tylne siedzenie radiowozu. Tak obezwładnionego zawieźli do izby wytrzeźwień, zabierając mu po drodze okulary, portfel i dokumenty. W izbie, cały czas skuty kajdankami, Maciej C. dmuchał w alkomat, który wykazał 1,13 prom. alkoholu. Nikt nie przedstawił mu do podpisu żadnego protokołu. Gdy okazało się, że lekarz nie zatrzymał Macieja C. na pobyt w izbie, policjanci cichcem rozpięli mu kajdanki i znikli. Po ich odejściu Maciej C. nie znalazł w portfelu ani grosza. „Po prostu nie było sprawy. Zostałem pobity i siłą zawleczony do izby wytrzeźwień bez powodu, tylko po to, by zaraz kazano mi z niej odejść" — zrelacjonował Maciej C. dziennikarce i pokazał jej wydaną następnego dnia obdukcję lekarską, z której wynikało, że miał na ciele liczne stłuczenia i zasinienia.

Przekazawszy na łamach gazety tę relację dziennikarka przytacza na koniec stwierdzenie rzecznika prasowego KSP i zastępcy dowódcy Batalionu Patrolowo-Interwencyjnego, którzy mówią: — „Jeżeli relacja Macieja C. jest zgodna z prawdą, to sprawa kwalifikuje się do prokuratora".

No właśnie — „jeżeli"... Tymczasem z artykułu nie wynika, aby autorka zadała sobie trud wyjaśnienia, czy relacja jej rozmówcy jest zgodna z prawdą. Nie rozmawiała z policjantami, nie sprawdziła zapisów w żadnych dokumentach, nie pofatygowała się do izby wytrzeźwień, gdzie ktoś przecież musiał widzieć i zapamiętać pobitego człowieka, który skuty kajdankami, dmuchał w alkomat. Wysunięte na łamach gazety oskarżenie przeciwko policjantom oparła tylko i wyłącznie na jednostronnej relacji rzekomego pokrzywdzonego.

Na podstawie doniesienia prasowego Inspektorat Komendanta Stołecznego Policji przeprowadził postępowanie wyjaśniające. Inspektorzy komendanta rozmawiali z przełożonym policjantów, zapoznali się z dokumentacją zdarzenia (notatniki służbowe, zapis w książce u dyżurnego), przesłuchali lekarza i pielęgniarkę, którzy mieli tej nocy dyżur w izbie wytrzeźwień, a także dyrektorkę i jej zastępcę, zapoznali się z kartą pobytu w izbie wytrzeźwień Macieja C.

Świadkowie i dokumenty

Na podstawie sprawozdania inspektoratu rysuje się obraz zupełnie inny niż przedstawiony na łamach gazety.

Nietrzeźwy Maciej C. szedł rzeczywiście Nowym Światem, tyle że nie chodnikiem a, zataczając się, środkiem jezdni. Widząc to policjanci postanowili go wylegitymować, ale mężczyzna nie zareagował na wezwanie do okazania dokumentów. Zajechali mu wówczas drogę radiowozem, ponownie wzywając do okazania dokumentów. Mężczyzna odmówił i zaczął głośno krzyczeć, wzywając pomocy, że został niewinnie napadnięty. Aby wsadzić go do radiowozu policjanci musieli użyć siły i kajdanek. Ten fakt zgłosili do dyżurnego, zapisali też w notatnikach służbowych. W radiowozie zatrzymany oświadczył policjantom, że sprawa zostanie opisana w prasie, a oni zwolnieni z pracy. W izbie wytrzeźwień, po zbadaniu alkomatem, lekarz dyżurny nie przyjął go na noc i zwolnił do domu.

Badanie alkomatem wykonała pielęgniarka. Maciej C. odmówił jej podpisania protokołu. Pielęgniarka zeznała, że nie widziała, aby Maciej C. podczas badania miał na rękach kajdanki. Nie zapamiętała także, aby skarżył się, że został pobity czy okradziony. Również pełniący dyżur lekarz nie przypomina sobie takich faktów, a w trakcie badania lekarskiego nie stwierdził widocznych obrażeń zewnętrznych, pacjent nie skarżył się też na żadne dolegliwości. Świadczą o tym zapisy widniejące w dokumentach izby.

Maciej C. nie złożył skargi na działanie policjantów ani w Komendzie Stołecznej Policji, ani w prokuraturze. Najwyraźniej wystarczyła mu „sprawiedliwość", jaką wymierzył im rękami dziennikarki...

Pozostaje tylko pytanie, czy rzecznik prasowy komendanta stołecznego będzie miał szansę na tym samym eksponowanym miejscu w gazecie i pod tak samo wielkim tytułem, bronić pomówionych policjantów, przedstawiając ustalony w postępowaniu wyjaśniającym przebieg wydarzenia. Pytanie jest retoryczne, bo w praktyce to się nie zdarza.

Dziennikarz kuloodporny

Bywa, że dziennikarz występuje nie tylko jako autor, ale również jako strona w konflikcie z policjantem. Policjanci nieraz skarżą się na dziennikarzy, którzy zjawiają się razem z nimi na miejscu zdarzenia i uważają, że przysługują im specjalne prawa. Nie podporządkowują się regułom obowiązującym wszystkich przypadkowych widzów, przepychają się między policjantami, zadeptują ślady, robią zdjęcia.

Wiele szumu prasowego wywołał niedawno przypadek, kiedy to podczas kontroli drogowej dwóch samochodów, co do których ist-

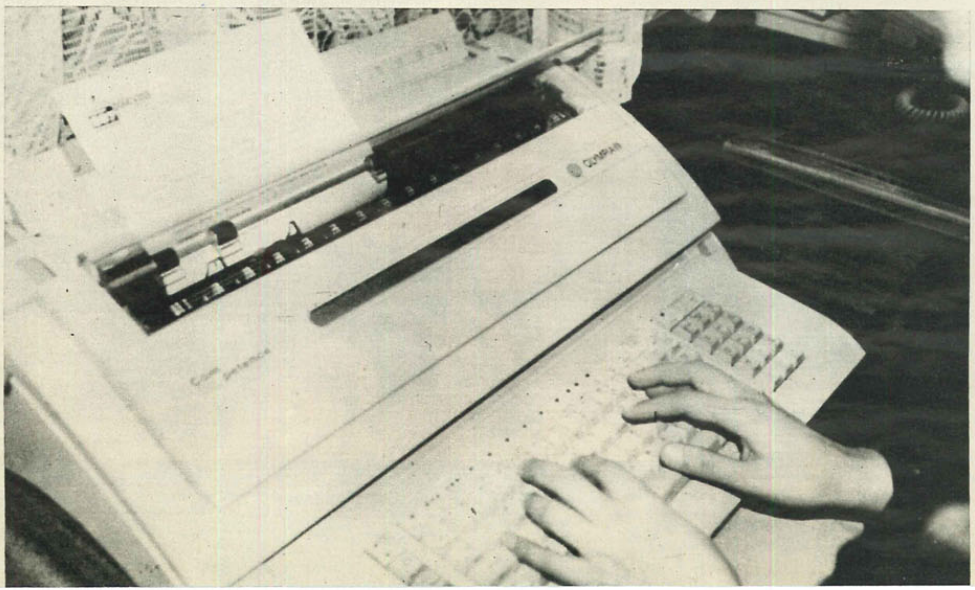

niało podejrzenie, że są kradzione, obok policjanta z bronią długą gotową do strzału pojawił się fotoreporter jednej z gazet. Nie pytając o zgodę zaczął fotografować, choć byli tam policjanci z pododdziału antyterrorystycznego, którzy ze względów bezpieczeństwa nie pokazują swoich twarzy. Fotoreporter i towarzyszący mu dziennikarz zakłócali prowadzone przez policjantów czynności, narażając siebie i ich na niebezpieczeństwo. W pewnym momencie fotoreporter usiłował ominąć policjanta lub usunąć go z drogi, aby przedostać się bliżej kontrolowanego samochodu. Policjant miał odbezpieczoną broń. Energicznym i dość silnym ruchem odepchnął fotoreportera. Następnego dnia ukazał się artykuł o policjancie, który pobił dziennikarza, podczas gdy ten wykonywał swoje dziennikarskie obowiązki. Oprócz tego skarga na policjanta wpłynęła do komendanta stołecznego. Po przeprowadzonym postępowaniu wyjaśniającym komendant stołeczny odpowiedział redaktorowi naczelnemu, wyrażając ubolewanie, że policjant pozwolił sobie na zniecierpliwienie i nie kontrolowany ruch. Stało się tak jednak dlatego, że chciał uniknąć większego nieszczęścia, jakie mogłoby nastąpić, gdyby w rezultacie przepychania czy szamotaniny padła seria strzałów z odbezpieczonej już broni.

Chciałbym gorąco zaapelować o większą dyscyplinę obywatelską dziennikarzy i ich żywszą wyobraźnię. Jeśli policjant z bronią gotową do strzału wydaje polecenie zatrzymania się w pewnej odległości, to w dobrze pojętym interesie wszystkich osób znajdujących się w pobliżu, należy polecenie wykonać. Nie znane są mi przypadki, aby ktokolwiek, włączając w to dziennikarzy, był kuloodporny — napisał komendant stołeczny.

Powiesić bez sądu

Wiele gazet poluje na tematy, w których negatywnymi bohaterami są policjanci i przedstawiają je tak, żeby było jak najbardziej bulwersująco i jak najbardziej sensacyjnie. Gdyby scharakteryzować polskiego policjanta na podstawie niektórych prasowych doniesień, zwłaszcza kilku celujących w tej tematyce dziennikarzy, wyszedłby obraz sadysty, który tylko po to przyszedł do tej służby, żeby móc znęcać się nad innymi, a także chama, prostaka, brutala, łapówkarza i ignoranta.

Chłopak, który czekał na ojca siedząc w zamkniętym samochodzie na Starówce i nie pozwolił się wylegitymować policjantom, opowiedział dziennikarzowi, że został przez nich brutalnie pobity. Dziennikarz, nie szukając żadnego innego źródła informacji o zdarzeniu, sprawę opisał. Autorytatywnie podał przebieg zdarzenia i orzekł o wine policjantów. Kilkanaście dni później wrócił na łamach gazet do sprawy stwierdzając, że w Policji schemat postępowania jest zawsze ten sam: pobicie, potem długie postępowanie i wreszcie kara. „Jak długo trwać będą tak skandaliczne praktyki"? — pyta. A zatem „nieskandaliczne" byłoby wyrzucanie policjantów od razu, następnego dnia po doniesieniu prasowym. Bez sprawdzenia, na podstawie jedynie słów redaktora i jego świętego oburzenia.

A tymczasem we wspomnianej sprawie ze Starówki prowadzone postępowanie wyjaśniające trwa, ponieważ jest w nim mnóstwo niejasności. Zeznania pokrzywdzonego są inne niż zeznania pomówionych przez niego policjantów, a także sprzeczne z zeznaniami świadków. Być może postępowanie udowodni, że policjanci są winni. Zostaną wtedy z pewnością ukarani. Wszystko musi się jednak odbyć zgodnie z prawem. Jeżeli złodziej złapany na gorącym uczynku, nawet gdy przestępstwo nie budzi wątpliwości, musi przejść przez proces udowadniania mu winy, to chyba takie samo prawo ma policjant, któremu zarzuca się niewykonanie obowiązków, przekroczenie uprawnień czy wręcz przestępstwo.

Sprostowanie drobnym maczkiem

W przypadku konfliktowej sytuacji z policjantem drugiej stronie wydaje się, że samo nagłośnienie sprawy w mediach to co najmniej połowa sukcesu. W wielu przypadkach bowiem, przy skargach pisanych na policję do prokuratur, Sejmu, Senatu, Komitetu Helsińskiego czy Kancelarii Prezydenta skarżący podpierają się publikacją prasową niemal tak, jakby to był wyrok sądowy.

W jednym z tygodników ukazał się artykuł o tym, jak policjanci pomylili się i zamiast podejrzanych o przestępstwo Gruzinów zatrzymali w tym samym mieszkaniu Ormian, a gdy zatrzymywani stawiali opór, jeden z funkcjonariuszy użył broni, raniąc zatrzymanego w nogę. Artykuł, tak jak i inne przytoczone tu przykłady, oparty był tylko na relacji jednej strony. Zatrzymani Ormianie wzięli adwokata, który w ich imieniu złożył skargę w prokuraturze. Prokuratura wszczęła postępowanie wyjaśniające, po czym umorzyła je z braku cech przestępstwa. Wówczas adwokat pokrzywdzonego odwołał się do Komitetu Helsińskiego. Jest to prawo każdego pokrzywdzonego i może on skarżyć się do wszystkich prawnie w tym celu powołanych instytucji. Ale często jest tak, że nim zdążą się one wypowiedzieć, głos zabierają dziennikarze. Na podstawie relacji jednej ze stron osądzają i wskazują winnych. Tak było i w tym przypadku. Zastępca naczelnika Inspektoratu Komendanta Stołecznego Policji kom. Jarosław Rybusiński twierdzi, że większość publikacji prasowych opisujących zdarzenia z udziałem policjantów jest nierzetelna. Dziennikarze przedstawiają zdarzenia na podstawie jednostronnych relacji, nie zadając sobie trudu sprawdzenia ich wiarygodności. Sprostowania, jeśli w ogóle się ukazują, są ukryte gdzieś w głębi gazety, podane drobnym drukiem, często skrócone lub tendencyjnie przycięte. Zresztą, kto czyta sprostowania?

ELŻBIETA SITEK

zdj. K. Mokrzyszewski

W GODZINĘ PO NAPADZIE

Po wejściu do sklepu rozglądali się po półkach z rozłożonymi towarami. Sprawiali wrażenie, że chcą kupić coś do zjedzenia. Gdy pozostali sam na sam z sześćdziesięcioletnią ekspedientką, wydobyli z kieszeni pistolety i przystawili je do głowy przestraszonej kobiety.

— Pieniądze — warknął jeden z napastników. — Dawaj wszystko co do grosza, bo zginiesz. My nie żartujemy.

W małym sklepiku utarg był niewielki. Ponadto, przed godz. 17.00, a więc przed napadem, część gotówki została przez właściciela zabrana. Sprawcy napadu doliczyli się więc w kasie ok. 300 złotych. Grożąc nadal ekspedientce użyciem broni i upominając ją, by nie zawiadamiała policji, napastnicy wybiegli ze sklepu.

Ekspedientka wyjrzała za napastnikami. Zauważyła, iż poszli w kierunku postoju taksówek i wsiedli do białego mercedesa. Zawiadomiła policję.

Dyżurny KRP w Zduńskiej Woli zarządził pościg. Nie wiedział, w jakim kierunku pojechali taksówką dwaj napastnicy. Najprawdopodobniejszy wydał mu się szlak Zduńska Wola — Sieradz. Liczył również, że bandyci nie będą dopingowali kierowcy taksówki do szaleńczej jazdy, by się nie zdradzić. A zatem w przeświadczeniu dyżurnego, policyjny radiowóz mógł dogonić taksówkę. Zadanie to dyżurny powierzył dwóm policjantom z plutonu patrolowego: sierż. Ryszardowi Kochelskiemu i st. sierż. Jarosławowi Lipińskiemu.

Gdy policjanci ruszyli w pościg, dyżurny zawiadomił KRP w Sieradzu o napadzie dokonanym w Zduńskiej Woli. Tam również zareagowano natychmiast. Policjanci z komisariatów położonych wzdłuż trasy Zduńska Wola — Sieradz otrzymali polecenie utworzenia posterunków blokadowych. Zostali także poinformowani, iż bandyci dysponują bronią.

Dalej już akcja potoczyła się szybko. Załoga radiowozu z plutonu patrolowego dopędziła taksówkę jadącą do Sieradza. Postanowiono trzymać się „na ogonie" mercedesa. W ten sposób ścigający i ścigany zbliżyli się do miejscowości Woźniki, gdzie na posterunku blokadowym stali już funkcjonariusze Policji: sierż. Dariusz Włodarczyk, sierż. Dariusz Derda i sierż. Andrzej Macuga.

Na ich znak kierowca taksówki zwolnił i zatrzymał się we wskazanym mu miejscu. Podjechał również radiowóz ze Zduńskiej Woli.

Bandyci do ostatniej chwili nie byli pewni swego położenia. Łudzili się, że chodzi o rutynową kontrolę drogową lub o reprymendę dla taksówkarza za przekroczenie dozwolonej prędkości. Zrozumieli, że to oni są „klientami" policjantów, gdy padło wezwanie:

— Ręce do góry! Wychodzić z samochodu!

Podnieśli ręce i wyszli bez oporu. Zostali natychmiast zakuci w kajdanki i przeszukani. Mieli przy sobie broń gazową i zrabowane ekspedientce pieniądze.

Zuchwałymi napastnikami okazali się dwaj dwudziestolatkowie: Janusz W. z Nowego Dworu Mazowieckiego i Lechosław W. z woj. szczecińskiego. Policjanci sądzą, że nie był to ich pierwszy skok. Podejrzani są o napady na pasażerów w pociągach.

EDWARD NOWAK

zdj. K. Potocki

JUBILEUSZOWA GARDA

Piąta, jubileuszowa wystawa systemów ochronnych „Garda '95" przeszła już do historii. W dniach 25—28 października br. 64 polskich i zagranicznych wystawców reklamowało urządzenia i systemy wszechstronnie ochraniające ludzi i mienie.

Organizatorzy wystawy, czyli przedstawiciele Fundacji Sportu w Policji „Fair Play" zdecydowali się przenieść „Gardę" do nowej, przestronnej siedziby, czyli hali warszawskiego Centrum Targowego „Mokotów" przy ul. Bokserskiej 71. Tam przygotowano do zagospodarowania 1100 m² powierzchni pod dachem. No i opłaciło się: było luźno, swobodnie, efektownie. Choć trochę daleko od centrum.

Na uroczystość otwarcia wystawy przybyło wielu oficjeli reprezentujących MSW, KGP i KSP, Towarzystwo Ubezpieczeniowo-Reasekuracyjne SA „Polisa" — oficjalnego sponsora wystawy, Polską Izbę Systemów Alarmowych, Ogólnopolskie Stowarzyszenie Producentów, Projektantów i Instalatorów Systemów Alarmowych, Polską Izbę Gospodarczą Firm Fizycznej i Technicznej Ochrony Mienia, Krajowy Związek Pracowników Agencji Ochrony Osób, Mienia i Usług Detektywistycznych oraz około 300 zaproszonych gości z instytucji, ośrodków i środowisk zainteresowanych rozwojem systemów ochrony.

Wśród wystawców

Siedemnastu zaprezentowało najnowsze autoalarmy oraz mechaniczne urządzenia do zabezpieczania samochodów. Osiemnastu pokazało systemy i urządzenia sygnalizacji zagrożeń: włamań i napadów. Dwudziestu dziewięciu — systemy i urządzenia monitorowania stanów alarmowych oraz kontroli dostępu.

— Mamy tu bez mała wszystko, co związane jest z branżą security — mówi dyr. Biura Wystawy Garda '95 Henryk Dąbrowski — a więc zarówno zamki mechaniczne, jak i szyfrowe, drzwi antywłamaniowe, systemy przeciwpożarowe oraz chroniące przed złodziejami, systemy pełnego monitorowania samochodów, motocykli, garaży oraz szafy pancerne, sejfy, folie antywłamaniowe. Słowem, aktualny stan techniczny systemów ochrony. Systemów, które swoimi rozwiązaniami nie odbiegają od norm światowych, niektóre powstały we współpracy z firmami zachodnimi.

Na wystawie najwięcej było elektroniki, która powoli, ale skutecznie wypiera mechanikę. Najlepiej widać to w branży motoryzacyjnej. Zdaniem fachowców, zabezpieczenia te są tak skuteczne, że nie dają się rozbroić przypadkowym złodziejom. Do ich unieszkodliwiania (systemów, oczywiście, a nie złodziei!) potrzeba sporo wiedzy. Sam młotek i przecinak już nie wystarczą.

Paraliżujący neseser

Zwiedzający wystawę mieli okazję nie tylko popatrzeć na techniczne nowinki, ale również zasięgnąć fachowej porady u dyżurujących ekspertów. Wśród nich byli m.in. oficerowie z Biura Prewencji i Operacyjno-Rozpoznawczego oraz Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego KGP.

Warto, moim zdaniem, wspomnieć przynajmniej o kilku niespodziankach, które wzbudziły duże zainteresowanie wśród zwiedzających.

Były to teczki, nesesery i kufry do bezpiecznego transportu gotówki i dokumentów. W razie napadu i groźby odebrania ich siłą, właściciel za pomocą pilota uruchamia system alarmowy obezwładniający złodzieja prądem o bardzo wysokim napięciu. Wstrząs jest tak silny, że napastnik nie jest w stanie kontynuować ucieczki.

Jedna z firm zaprezentowała urządzenia podsłuchowe, ukryte kamery i noktowizory, a także sprzęt do wykrywania i zabezpieczania przed podsłuchem pomieszczeń i telefonów. Inny wystawca oferował zewnętrzne systemy alarmowe, oparte m.in. na czujnikach mikrofalowych i kablach światłowodowych, a także kompletne wyposażenie dla wszelkich służb specjalnych. Czy znalazł chętnych do transakcji — nie wiem.

„Bezpieczne miasto"

Tegorocznej „Gardzie" towarzyszyło — wzorem lat poprzednich — sympozjum naukowe. Hasło obecnego brzmiało: „Branża security w Polsce — stagnacja czy rozwój?". Jego współorganizatorami byli: Polska Izba Systemów Alarmowych oraz redakcja czasopisma „Systemy Alarmowe".

Konferencję otworzyła prezentacja, opracowanego przez Wydział Prewencji KSP, programu profilaktycznego „Bezpieczne miasto". Jego celem jest współdziałanie Policji ze społeczeństwem w dziedzinie zapobiegania przestępczości. W kontekście „Gardy" współdziałanie to może być wzbogacone profesjonalnym rynkiem usług z zakresu ochrony mienia i ludzi.

W trakcie dwudniowej konferencji dyskutowano m.in. nad systemem badań i certyfikacji urządzeń alarmowych oraz współpracy specjalistów z branży zabezpieczeń z Policją i firmami ubezpieczeniowymi; przedstawiono najnowsze osiągnięcia w dziedzinie ochrony samochodów przed kradzieżą oraz problem fałszowania dokumentów oraz znaków identyfikacyjnych pojazdów.

„Garda" to jedna z najbardziej liczących się w kraju imprez wystawowych promujących najnowsze rozwiązania systemowe i techniczne w ochronie mienia i osób.

JERZY PACIORKOWSKI
zdjęcia Krzysztof Mokrzyszewski

Jury konkursu „AwanGarda '95" za najlepsze rozwiązanie techniczne systemu lub urządzenia eksponowanego na tegorocznej wystawie „Garda" nagrodę główną przyznało firmie Cerberus Poland z Warszawy za „system wykrywania i sygnalizacji pożaru „AlgoRex".

Nagrodę specjalną przyznano firmie ESOM z Warszawy za „program obsługi systemów monitoringu ESOM-WIN", pracujący w środowisku Windows.

Wyróżnienia równorzędne otrzymały firmy:

1) GERDA Star ze Starachowic za „Drzwi antywłamaniowe »GERDA STARS«"

2) Agencja Reklamowo-Handlowa TOP z Warszawy za „Urządzenie testujące TOPSCAN"

3) DIPOL—WROCŁAW za „Blokadę skrzyni biegów MINI-LOCK"

4) JUWENT z Ryk za „Drzwi antywłamaniowe JUWENT o zabezpieczeniu bankowym"

5) MEDEX ELECTRONIC z Warszawy za „System monitoringu lokalnego SPIDER"

CŁO I GRANICA W „VICTORII"

W październiku w warszawskim hotelu „Victoria" odbyła się I Międzynarodowa Wystawa Sprzętu dla Kontroli Celnej i Granicznej „Cło i granica '95", zorganizowana przez Zarząd Targów Warszawskich — Biuro Reklamy SA.

W uroczystym otwarciu udział wzięli m.in.: wiceminister spraw wewnętrznych Henryk Jasik, prezes Głównego Urzędu Ceł Mieczysław Nogaj i komendant Straży Granicznej płk dr Jan Wojcieszczuk.

56 wystawców z Polski i z zagranicy m.in.: USA, Izraela, Wlk. Brytanii, Francji i Niemiec prezentowało swoje wyroby i usługi niezbędne do szeroko rozumianego zabezpieczenia granicy. Można było zobaczyć m.in. wykrywacze narkotyków, materiałów wybuchowych, fałszywych dokumentów, zakamuflowanej kontrabandy, przyrządy do wykrywania źródeł promieniotwórczych, systemy obserwacyjne, samochody kuloodporne i specjalne, centralki, czujki, gniazda.

Cło jest dziś istotnym źródłem dochodów budżetowych i ważnym elementem polityki handlowej. Zmiany w gospodarce, perspektywa integracji Polski z Unią Europejską oraz stały wzrost ilości towarów i liczby osób przepływających przez granicę sprawiły, że administracja

celna musi znacznie zwiększyć tempo modernizacji.

W 1994 r. ruch na granicach wzrósł średnio o 12%. Celnicy dokonali 2,5 mln odpraw celnych towarów przeznaczonych do obrotu gospodarczego, o 500 tys. więcej niż w roku ubiegłym. Jednocześnie kilkugodzinne, a czasem wielodniowe kolejki na przejściach granicznych wymusiły zmiany organizacyjne i decyzje o unowocześnieniu zaplecza.

Także Straż Graniczna odziedziczyła po Wojskach Ochrony Pogranicza wyposażenie, które w przeważającej mierze było już wyeksploatowane, a przede wszystkim nieprzydatne w formacji o charakterze policyjnym (np. uzbrojenie ciężkie). Jasne jest więc, że trzeba zakupić nowoczesny sprzęt, i właśnie zapoznaniu się z nim przez ludzi z „pierwszej linii" służyła wystawa w „Victorii".

Największym zainteresowaniem niezawodowców cieszyło się stanowisko firmy „PIMCO" Ltd. Prezentowane przez nią wykrywacze do metali to towar niezbędny dla służb granicznych, ale i gratka dla poszukiwaczy ukrytych w ziemi skarbów. Także gaz obezwładniający na składnikach naturalnych, a więc nie wymagający zezwolenia, budził sporą ciekawość.

Stoisko redakcji „Gazety Policyjnej" i „Magazynu Kryminalnego 997" było oblegane przez stałych i nowych czytelników. Licznie odwiedzali nas producenci sprzętu potrzebnego dla Policji.

ZYGMUNT PODHORODECKI
zdj. Krzysztof Potocki

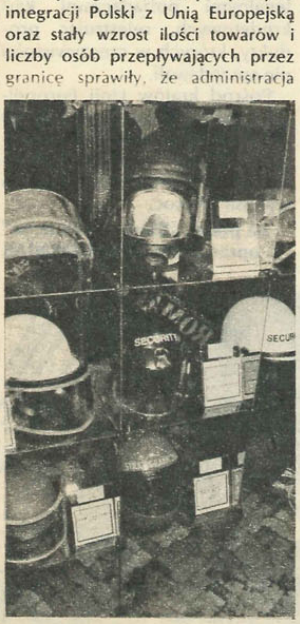

PROSTO Z DROGI

PRAWO DO SAMOCHODU

Minister transportu i gospodarki morskiej nowelizacją przepisów o rejestracji, ewidencji i oznaczaniu pojazdów dopuścił do rejestracji samochody, których posiadacze nie mają dowodów rejestracyjnych lub innego rzetelnego dokumentu wskazującego właściciela pojazdu. Samochody takie — zgodnie z nowymi przepisami — mogą być czasowo dopuszczone do ruchu. Otrzymają też na rok tymczasowy dowód rejestracyjny oraz tablice.

W tym czasie właściciel pojazdu obowiązany jest na drodze postępowania sądowego uzyskać prawo własności. W przypadku, gdyby postępowanie sądowe przeciągało się, pozwolenie czasowe może być przedłużone nawet do 3 lat.

„SOS ASSISTANCE"

Wzorem innych krajów zachodnich także w Polsce przybywa firm niosących pomoc kierowcom w razie awarii na drodze. Po PZU Assistance zadania tego podjęła się spółka Autotour należąca do Polskiego Związku Motorowego. Spółka stworzyła sieć liczącą ponad 200 punktów pomocy drogowej. Zapewnia dotarcie wozu serwisowego do dowolnego miejsca w kraju w czasie nie dłuższym niż godzina.

Opieką „PZM—SOS—Assistance" objętych jest już ok. 100 tys. polskich kierowców oraz osoby przyjeżdżające z zagranicy. Z usług Autotouru korzystają też klienci kupujący nowe samochody Forda, Opla, Nissana, Daewoo, Volvo, Rovera, a także FSO. Ich importerzy lub producenci zawarli z firmą umowy, dzięki którym kierowcy otrzymują pomoc nieodpłatnie.

Aby skorzystać z pomocy Autotouru trzeba wykupić kartę „PZM—SOS—Assistance". Jednak auto objęte opieką nie może mieć więcej niż 5 lat i być zarejestrowane na więcej niż dziewięć osób łącznie z kierowcą.

Niebawem posiadacze karty będą mogli zaopatrzyć się w książeczkę „PZM—Euro—Assistance", która zapewni im bezpłatną pomoc drogową na terenie niemal całej Europy.

JEDZIEMY DO SŁOWENII (SLO)

Słoweński kodeks drogowy zezwala na jazdę w terenie zabudowanym — podobnie jak u nas — z prędkością 60 km/h. Ograniczenie to dotyczy w jednakowym stopniu kierowców samochodów osobowych, jak i ciężarowych. W terenie pozamiejskim limit prędkości wynosi 80 km/h, jedynie samochody ciężarowe powyżej 7 ton wagi całkowitej nie mogą przekroczyć 70 km/h. Na autostradach maksymalna prędkość wynosi 120 km/h (dotyczy samochodów osobowych i motocykli), ciężarówki o wadze do 7,5 tony oraz samochody osobowe z przyczepą bagażową lub kempingową nie mogą przekroczyć 80 km/h, a pojazdy powyżej 7 ton — 70 km/h.

Obowiązek używania świateł mijania przez całą dobę w terenie nie zabudowanym dotyczy tylko motocyklistów. Kierowcy samochodów obowiązani są natomiast włączyć światła mijania, gdy widoczność w terenie zabudowanym ograniczona jest do 100 metrów, a w nie zabudowanym do 200 metrów.

PIJANY ŻUK

40-letni mieszkaniec Baniochy (woj. stołeczne) Paweł K. lubi wypić. Niby nic w tym szczególnego, gdyby nie fakt, że po kielichu lubi również zasiąść za kierownicą swego żuka. Do tej pory szczęście jakoś mu sprzyjało, ale — jak to w życiu bywa — los czasami płata figle.

W pewne niedzielne przedpołudnie Paweł K. wstąpił po kościele do szwagra. W miłej atmosferze wysączyli dwie półlitrówki. Dochodziła godz. 13.00, kiedy nasz bohater uświadomił sobie, że pora wracać do domu na obiad. Wskoczył więc do swego żuka i ruszył przed siebie. Traf chciał, że w tym samym czasie ul. Lipową w Baniosze jechał emzetką policjant z warszawskiej drogówki. Paweł K. pewnie go nawet nie zauważył, bo w czubie miał — jak się później okazało — 3,28 prom. alkoholu. Gdyby nie przytomność umysłu młodego policjanta, kierowca żuka niechybnie by go staranował. Skończyło się na szczęście na wywrotce i niegroźnych obrażeniach nóg motocyklisty. Paweł K. uciekł z miejsca zdarzenia. W pół godziny później odnaleźli go policjanci z KRP w Piasecznie.

CZY WIESZ, ŻE...

We Francji kierujący pojazdami krócej niż 2 lata nie mogą przekraczać prędkości 90 km/h, a w Portugalii na taką szybkość mogą sobie pozwolić jedynie kierowcy z rocznym stażem za „kółkiem". A u nas śmierć na drogach zbiera obfite żniwo. Także wśród tych najmłodszych kierowców.

JERZY PACIORKOWSKI

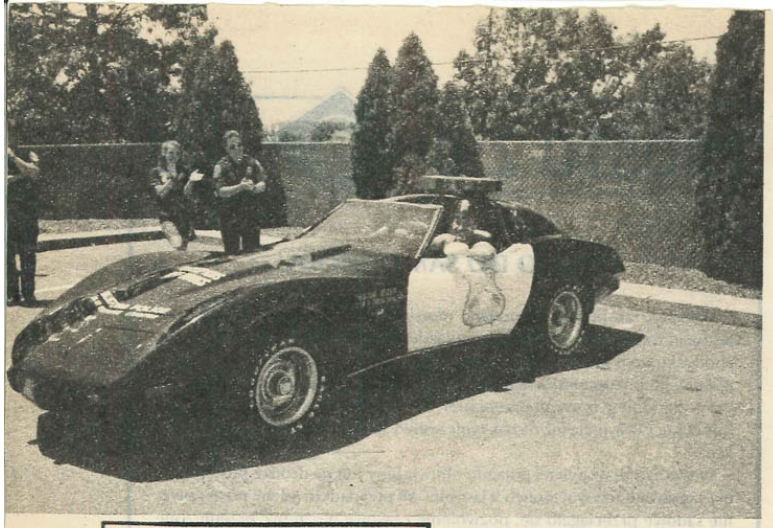

USA

To porsche zostało skonfiskowane handlarzowi narkotykami. Dziś służy ono amerykańskim policjantom zwalczającym białą śmierć.

zdj. J.H.

WIELKA BRYTANIA

POLICJA LIVERPOOLU WYKORZYSTUJE TELEWIZJĘ DO WALKI Z PRZESTĘPCAMI

Wszystko, co dzieje się teraz na ulicach w centrum brytyjskiego miasta Liverpool jest rejestrowane za pomocą jednego z najdoskonalszych w Europie systemów obserwacji telewizyjnej z ukrycia. Zainstalowanych tam ostatnio 20 kamer telewizyjnych umożliwia śledzenie dosłownie każdego poruszającego się obiektu — człowieka czy samochodu — w promieniu ponad 5 kilometrów.

System wartości 360 tys. funtów szterlingów pracuje jak 20. policjantów, pełniących służbę przez całą dobę, widzących wszystko, nigdy nie korzystających z urlopu i bardzo rzadko chorujących — stwierdził szef policji w Liverpoolu Howard Perry. Zapewnia on możliwość uzyskania kolorowego obrazu wydarzeń nawet w nocy i błyskawicznego powiększania każdego kadru 15 razy.

Podobne systemy zainstalowano lub instaluje się w dziesiątkach brytyjskich miast i ośrodków handlowych. Dzięki jednemu z nich w mieście Newcastle przestępczość w centrum miasta zmniejszyła się o 18 proc., w Bornmouth zaś straty wyrządzane przez chuliganów w domach i innych obiektach w rejonie miejskich bulwarów nadbrzeżnych zmniejszyły się z 220 do 40 tys. funtów rocznie.

Mimo to organizacje ochrony praw człowieka Wielkiej Brytanii są nieco zaniepokojone tym, że wykorzystanie systemów może być rozszerzone, m.in. w celu śledzenia uczestników demonstracji. Krajowa Rada Swobód Obywatelskich opublikowała oświadczenie, w którym wskazuje na pilną konieczność opracowania specjalnych przepisów gwarantujących wykorzystywanie tego rodzaju systemów tylko do zwalczania przestępczości.

(gi)

FRANCJA

ALKOHOL I KIEROWNICA

We Francji wszedł w życie przepis, obniżający do 0,7 promila dopuszczalną zawartość alkoholu we krwi kierowców. Przedtem obowiązywał wskaźnik 0,8 promila. Zdaniem ministra transportu Bernarda Bossona, nawet tak niewielka zmiana powinna ograniczyć o połowę groźbę śmiertelnych katastrof drogowych, spowodowanych piciem alkoholu.

Na drogach francuskich ginie co roku ok. 9 tys. osób. Choć tylko 2—3 proc. kierowców siada za kierownicą po wypiciu dawki alkoholu przekraczającej dopuszczalną normę, trunki są przyczyną aż ok. 40 proc. śmiertelnych wypadków samochodowych. Obok przekraczania dozwolonej prędkości jest to jedna z głównych przyczyn tragedii na drogach.

Zmianie przepisu o obniżeniu dopuszczalnego wskaźnika zawartości alkoholu we krwi kierowców towarzyszyła intensywna akcja kontrolna. Przekroczenie granicy 0,8 promila jest surowo karane. Jeśli pomiar wykaże zawartość alkoholu między 0,7 a 0,8 promila, kierowca odpowiada przed organem policyjnym, który może wymierzyć mu grzywnę do 5000 franków, pozbawiając także prawa jazdy nawet na 3 lata. Ponadto kierowca traci automatycznie 4 punkty z prawa jazdy (z 12). Jazda po spożyciu takiej ilości alkoholu, która powoduje wzrost jego zawartości we krwi powyżej 0,8 promila kwalifikuje czyn jako przestępstwo. Kierowca staje wówczas przed sądem, który może go skazać na 2 lata więzienia (4 lata w wypadku recydywy) i karę do 30 000 franków. Kierowcy grozi ponadto utrata prawa jazdy na 5 lat i konfiskata... samochodu.

Zdaniem ministra Bossona, przestrzeganie obniżonej normy spożycia alkoholu przez kierowców powinno ocalić życie przeszło 2000 osób rocznie.

gi

PORTUGALIA

TRZY I PÓŁ MILIONA FAŁSZYWYCH DOLARÓW

Policja kryminalna skonfiskowała w Lizbonie 700 tys. dolarów, kładąc w ten sposób kres działalności dużej siatki fałszerzy pieniędzy.

Do tych 700 tys. dolarów dodać należy 500 tys. skonfiskowanych przez policję portugalską w czerwcu br. oraz 2,3 miliona dolarów wykrytych w Hiszpanii. Wszystkie tego samego gatunku, „made in Portugal". Proces produkcji stosowany przez siatkę był do tej pory nie znany w Interpolu. Trzy i pół miliona dolarów amerykańskich w banknotach 100-dolarowych, produkowanych techniką offsetową, łatwo było wziąć za prawdziwe, choć nie miały znaków zabezpieczających przed fałszerstwem.

Po dwóch latach poszukiwań zatrzymany został w rejonie Porto „najlepszy specjalista" w Portugalii od fałszowania czeków. Stosował scanner i technikę offsetową.

UNICRE, instytucja nadzorująca stosowanie kart kredytowych Visa w Portugalii, padła ofiarą fałszerstwa, w wyniku którego straciła prawie 70 milionów escudo (ok. 400 tys. dolarów). Policja skonfiskowała 80 kart Visa skradzionych za granicą i używanych nielegalnie w Portugalii. Zatrzymano dwóch Portugalczyków i dwóch Brazylijczyków oraz zidentyfikowano osiem osób podejrzanych o powiązania z przestępcami. Wśród nich nie było ani jednego pracownika banku. Byli natomiast handlowcy, którzy „szli na układ" z nielegalnymi posiadaczami kart kredytowych, rejestrując produkty, których w rzeczywistości nie sprzedawali.

Pośród krajów Unii Europejskiej Portugalia utrzymuje jeden z najniższych wskaźników fałszerstw środków płatniczych — 0,05 proc. W 1990 r. wskaźnik ten wynosił 15 proc.

na podst. „Diario de Noticias"
oprac. KRYSTYNA GÓRNIAK

ZAGRANICZNA KRONIKA POLICYJNA

TROPEM ROSYJSKIEJ MAFII W USA

Amerykańska policja federalna aresztowała w pobliżu Los Angeles 21 osób pochodzenia rosyjskiego, amerykańskiego i egipskiego, podejrzanych o powiązanie z rosyjską mafią. Postawionym w stan oskarżenia za nadużycia podatkowe związane z obrotem paliwami, za handel narkotykami oraz sutenerstwo, grozi kara dożywotniego pozbawienia wolności. Śledztwo FBI w tej sprawie trwa.

KARNE REKORDY

Ponad 5 mln Amerykanów, czyli 2,7 proc. całej ludności Stanów Zjednoczonych, jest obecnie uwięzionych lub podlega karnej procedurze. Liczby te, ujawnione przez Ministerstwo Sprawiedliwości w Waszyngtonie, wzrosły trzykrotnie w stosunku do tych z lat 80. Wyroki sądowe, związane z handlem narkotykami, wyjaśniają tę wysoką progresję — stwierdza ministerstwo.

MIĘDZYNARODOWY RABUŚ

Belgijski Arsene Lupin, który w swoim krajowym dossier ma zarejestrowanych ponad setkę kradzieży z włamaniem, ujęty został w północnej Grecji, w mieście Saloniki.

Poszukiwany listem gończym przez belgijską policję za rekordową serię przestępstw popełnionych w latach 1990—1992, wyjechał do Grecji, gdzie nie zaprzestał rabować, a nawet rozwinął swoją działalność. Zgromadził łupy wartości ponad 550 tys. dolarów.

UDANY POŁÓW

Prawie pięć ton haszyszu wykryła włoska policja na jachcie w zatoce Cagliari, w południowej Sardynii. Aresztowano czterech przemytników pochodzących z Rzymu. Była to jedna z największych konfiskat haszyszu we Włoszech w ostatnich latach. Narkotyk, sprzedawany w porcjach na włoskim czarnym rynku, wart jest około 40 miliardów lirów.

ISLAMSKI TERROR NIE SŁABNIE

Trzech algierskich policjantów poniosło śmierć w zamachu terrorystycznym w stolicy Algierii — oświadczył wyższy oficer tamtejszej policji. Zamachowcy usiłowali samochodem-pułapką wysadzić w powietrze siedzibę Dyrekcji Generalnej Służby Bezpieczeństwa (DGSN). W eksplozji zginęło również trzech islamskich samobójców, usiłujących staranować bramę wjazdową do gmachu siedziby DGSN. W ogóle w tym zamachu zginęło dziewięć osób oraz ponad setka odniosła rany. Od 1992 roku, początku islamskiego terroru, w Algierii śmierć poniosło około 41 000 osób.

KRYZYS W CIA

Amerykańskie służby wywiadowcze przeżywają trudny okres w montowaniu tajnych operacji za granicą — oświadczył John Deutch, dyrektor CIA. Centralna Agencja Wywiadowcza napotyka na poważne trudności w werbunku nowych agentów, co paraliżuje jej główne misje infiltracji reżimów nieprzychylnych Stanom Zjednoczonym, przenikania jej agentów do grup terrorystycznych lub karteli narkotykowych.

NIEBEZPIECZNI RÓWNIEŻ DLA NIEMIEC

Neonaziści niemieccy, którzy walczyli jako najemnicy w Bośni i Chorwacji, a powracający do kraju z bronią, stanowią „nowe potencjalne zagrożenie" dla Niemiec — stwierdził Urząd Ochrony Konstytucji (BFV), czyli niemiecka służba bezpieczeństwa, w informacji podanej w dzienniku „Die Welt".

oprac. MARIAN OWCZAREK

Neonaziści z Niemiec i innych krajów europejskich zorganizowali niedawno w duńskim mieście Roskilde manifestację neofaszystowską. Doszło do starć z grupami młodzieży ekstremistyczno-lewicowymi. Duńska policja aresztowała 61 osób.

Myśliwy na tropie

Myśliwy z Lublińca (woj. częstochowskie) poszedł do lasu na obchód terenu, który dzierżawiło „jego" kółko łowieckie. Miał obowiązek sprawdzić, czy po lesie uganiają się psy czyhające na płową zwierzynę. Zobowiązany był także do tropienia kłusowników.

Las rozbrzmiewał ptasim śpiewem. Różne gatunki skrzydlatych mieszkańców gęstego boru szykowały się do nocnego snu. Nagle ptasi świergot zamarł, a przez las przetoczyło się echo strzału. — Z karabinu lub pistoletu — pomyślał myśliwy Sławomir Szyszka. Zastanawiał się, kto i w jakim celu wystrzelił. Może kłusownik?

Myśliwy bez większego trudu ustalił kierunek i odległość, z której padł zagadkowy strzał. Postanowił zlokalizować intruza i zbadać jego uprawnienia do posługiwania się bronią na terenie lasu. Brał też pod uwagę, że strzelającym mógł być leśnik.

Ok. godz. 18.00 Sławomir Szyszka zauważył mężczyznę, który wolnym krokiem szedł wąskim duktem. Idący miał na biodrach szeroki pas, a za nim wetknięty jakiś nietypowy pistolet. Myśliwy przez kilka minut szedł w ślad za uzbrojonym młodzieńcem. Chciał, by wspólnie znaleźli się na jakiejś polanie.

I tak się stało. Młody mężczyzna nie usłyszał podążającego za sobą myśliwego. Parę razy wyjmował zza pasa pistolet, ale nie oddawał ponownego strzału. Gdy był już na polanie, nagle usłyszał wezwanie:

— Ręce do góry! Nie odwracaj się, bo będę strzelał.

Człowiek z pistoletem za pasem zachował się spokojnie. Posłusznie wykonał usłyszany z bliska rozkaz. Sądził, że za jego plecami znajdują się funkcjonariusze Policji. Bez oporu pozwolił wyjąć sobie broń zza pasa.

— Czy mogę się odwrócić? — zapytał zrównoważonym głosem.

— Możesz — usłyszał odpowiedź.

Ku zdziwieniu młodego człowieka, tym, który go wezwał do podniesienia rąk nie był policjant ani nawet leśnik. Przed nim stał jakiś cywil z dubeltówką w rękach.

— Kim pan jest? — zapytał młodzieniec.

— Myśliwym. Wszedłeś na teren naszego koła łowieckiego i strzelałeś.

— Nie strzelałem, tylko strzeliłem. Ale pan nie ma prawa mnie zatrzymywać — odparł. — Brak panu podstaw.

— O tym się przekonamy w komisariacie — powiedział Sławomir Szyszko. — A teraz odwróć się i idź przede mną do wyjścia z lasu. Gdybyś próbował uciekać, zasypię ci tyłek śrutem jak szarakowi.

Młody, rozbrojony już mężczyzna, nadal nie stawiał oporu. Ruszył do przodu, jak mu nakazał „konwojent". Ten zaś, z głośnym zgrzytem metalu, „złamał" dubeltówkę. Młodzieniec słysząc to zorientował się, że myśliwy ma broń nie załadowaną i chce to uczynić właśnie teraz. Błyskawicznym ruchem sięgnął do trzymanej w ręku teczki i wydobył z niej rewolwer marki Colt. Zrobił półobrót. Teraz on zaskoczył myśliwego. Wyciągnął rękę z rewolwerem i wymierzył w Sławomira Szyszkę.

— Przestań ładować! — rozkazał. Myśliwy wykonał to polecenie. — Załóż swoją pukawkę na ramię i spadaj — brzmiało drugie polecenie. — No już, bez namysłu — poganiał młodzieniec.

Drogi obydwu mężczyzn rozeszły się. Ale tylko pozornie. Myśliwy nie dał za wygraną. Postanowił tropić intruza aż do skutku, tj. do ustalenia miejsca jego zamieszkania lub natknięcia się na policyjny patrol. Trzymając się w bezpiecznej odległości, śledził kroki zuchwałego młodzieńca.

Obydwaj wyszli z lasu w tym samym miejscu. Tyle że kolejno. Zagłębili się w ciemne już uliczki Lublińca. Młodzieniec z coltem zauważył znowu swego prześladowcę. Gwałtownym susem skoczył w bok, a następnie w studzienne podwórza.

Myśliwy, trochę nierozsądnie, zaczął go poszukiwać. Po drodze Sławomir Szyszka spotkał znajomych. Poprosił, by zawiadomili policję, że on tropi kogoś nielegalnie posiadającego broń.

Reakcja była natychmiastowa. Do rejonu, w którym ukrył się młodzieniec z coltem przybyło kilkunastu policjantów. Zaczęli penetrować uliczki, place i podwórka. W toku tych czynności odnaleźli młodego człowieka, który prysnął spod obserwacji Sławomira Szyszki. Znalazł sobie doskonały schowek w bagażniku porzuconej syreny. Tylko spryt jednego z policjantów pozwolił odnaleźć zbiega.

Zatrzymany Kazimierz Chmura ma 18 lat. W chwili zatrzymywania go przez policjantów nie zamierzał wyciągać broni jak w przypadku myśliwego. Podniósł ręce i nie reagował na odbieranie mu colta kal. 44 mm, załadowanego amunicją własnej produkcji. Pozwolił sobie nałożyć kajdanki i wprowadzić się do policyjnego radiowozu. Ustalono, że ma ukończoną szkołę zawodową i nie był, podobnie jak członkowie najbliższej rodziny, karany.

W mieszkaniu rodziców Kazimierza Chmury policjanci znaleźli dalszych sześć rewolwerów i pistoletów wykonanych domowym sposobem oraz dwie wiatrówki, trzy lufy karabinowe od mauzerów, gaz-maski, bagnety, dwa pojemniki z gazem paraliżującym, granat F-1 oraz mnóstwo amunicji, w tym wykonanej własnoręcznie przez Kazimierza Chmurę.

Ten niewielki arsenalik wciąż się rozwijał. Kazimierz Chumra kupował, gdzie popadło, starą, zardzewiałą broń i doprowadzał do stanu używalności. Na te zajęcia poświęcał cały swój wolny czas i każdy grosz.

— Nie zamierzałem tej broni sprzedawać grupom przestępczym i gangom — powiedział Kazimierz Chmura. — Budziła ona tylko moje zainteresowania, wyzwalała precyzję umysłu i rąk.

Zakwestionowane rewolwery i pistolety przekazano do badań w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym Komendy Głównej Policji.

Postępowanie w sprawie prowadzi Wydział Dochodzeniowo-Śledczy Komendy Rejonowej w Lublińcu. Po przesłuchaniach Kazimierz Chmura został zwolniony do domu. Przebywa pod policyjnym nadzorem.

EDWARD NOWAK

Nazwisko zatrzymanego zostało zmienione

Rzecz wydarzyła się na przełomie XIX i XX wieku we Francji, a jej główną bohaterką została Teresa Humbert, z domu Daurignac. Urodziła się w 1856 roku w Aussone w zamku hrabiego d'Aurignac. Co prawda zamek był zwykłym dworkiem, a papa August jedynie nabył prawo do używania tytułu hrabiego, dostosowując do nowej pozycji społecznej poprzednie nazwisko.

Oszuści stulecia

PRZEDSIĘBIORCZA PARA

Nie należy się więc dziwić, że od najmłodszych lat Teresa była świadkiem, jak „zamek" nachodziła grupa wierzycieli, niejednokrotnie grożąca obiciem pana hrabiego kijami. Pewnego dnia zrozumiała, dlaczego rozsierdzeni jeszcze kilka minut wcześniej pożyczkodawcy wychodzili z gabinetu ojca uśmiechnięci, godząc się na prolongatę długów. Co więcej, otwierali przed hrabią d'Aurignac kiesy, w które ten szybko wkładał dłonie...

SPOSÓB NA LICHWIARZY

Oto przed kolejną z takich wizyt mała Teresa ukryła się w gabinecie ojca za zasłoną. Stamtąd mogła dokładnie obserwować scenę, która rozegrała się przed jej oczyma. Kiedy papa wszedł z grupą wyzywających go mężczyzn, wskazał na stojący w rogu pokoju kufer.

— Panowie — oświadczył podniesionym głosem — tam oto znajdują się dokumenty, wedle których jestem jedynym spadkobiercą fortuny, jaką stryj zdobył w Ameryce. Musicie być cierpliwi, gdyż wkrótce nowojorski sąd rozpatrzy rzecz całą, upoważniając mnie — tu zawiesił głos w dramatycznej pauzie — do pobrania miliona dolarów w złocie.

W przeciwieństwie do lichwiarzy, którzy zadowoleni opuścili pokój, mała Teresa zajrzała do wnętrza kuferka i... nic w nim nie znalazła. Tę lekcję zapamiętała na całe swoje życie.

„NIENAWIDZĘ BYĆ BIEDNA"

Tak podobno miała oświadczyć panna d'Aurignac na miesiąc przed ślubem. Swatano ją za Fryderyka Humberta. Jej przyszły teść był profesorem prawa i polityki, deputowanym Górnej Garonny. W jakiś czas później miał zostać senatorem, wiceprezesem Senatu, aż wreszcie w 1882 ministrem sprawiedliwości. Fryderyk był z wykształcenia prawnikiem, malował, pisał wiersze... Na pierwszy rzut oka partia wyśmienita.

Teresa bez szemrania poddała się woli ojca postanawiając zniwelować po ślubie jedyny mankament pana młodego, tj. brak gotówki. Zresztą, co tu kryć, sama również jej nie posiadała, nie grzesząc przy tym urodą. Na dodatek sepleniła. Rzecz jasna, prof. Humbert nie miał bladego pojęcia, że ma do czynienia z oszustami, podobnie jak inni zadowalając się zawartością tajemniczego kuferka.

Ślub odbył się z pompą we wrześniu 1878 roku. Wkrótce pan młody z przerażeniem stwierdził, że testamentowy zapis jest blagą, a zamek to w rzeczywistości dziesięciopokojowy, rozpadający się dworek, a może i dobudówka zgruzowanego ongiś pałacyku.

Tak więc oboje zamieszkali w skromnym mieszkaniu w Tuluzie przy ul. Monge i wkrótce rozpoczęli konstruowanie „mechanizmu", który zapewnić miał im w przyszłości miliony.

POKEROWA ZAGRYWKA

Wkrótce wśród znajomych i przyjaciół zaczęła krążyć pogłoska, że Teresa Humbert jest spadkobierczynią wielomilionowej fortuny, dziedziczonej po Amerykaninie. Wkrótce nazwisko nowojorskiego krezusa Crawforda krążyło z ust do ust. Nadal jednak postać tajemniczego Jankesa owiana była mgłą równie nieprzejrzystą, co mało konkretną. Trzeba było coś z tym fantem zrobić. Dzięki wiedzy prawniczej Fryderyka małżonkowie sporządzili fikcyjny testament, który Teresa podsunęła teściowi.

Któryż ojciec nie chciałby widzieć swego syna i synową opływających w dostatek? Tak więc biorąc rzecz całą za dobrą monetę senator zbadał dokument pod względem cywilnoprawnym. W klauzuli, w której zapisujący wyliczał swój majątek, sędziwy profesor wykrył, że Mr. Crawford nieświadomie zaniżył zapisaną synowej sumę o... 600 tys. franków. Suma ta była na owe czasy prawdziwą fortuną. Wystarczy powiedzieć, że ok. 100 sous kosztował wówczas dzień pobytu w najbardziej z luksusowych paryskich hoteli. Pięć tysięcy franków rocznie płaciło się za apartament w najelegantszej dzielnicy stolicy Francji. Dwadzieścia tysięcy dochodu rocznego otwierało przed ich właścicielem drzwi wykwintnych salonów stolicy świata.

Podniecony odkryciem senator Humbert zwrócił się do profesora Accariasa, jednego z największych znawców prawa międzynarodowego tamtej epoki. Rzecz jasna, „autentyczność" dokumentu gwarantowała opinia dostojnego Humberta, o którym zaczynano szeptać, że wkrótce obejmie tekę ministra sprawiedliwości. Oczywiście, prof. Accarias w zupełności potwierdził prawdziwość dokumentu, jak też fakt nieświadomego zaniżenia masy spadkowej.

BIERZCIE, ILE CHCECIE

W tej sytuacji kasy największych francuskich bankierów stanęły otworem przed małżeństwem Humbertów. Wkrótce oboje wynajęli w Paryżu elegancką willę, a plotka o fortunie młodych z dnia na dzień pęczniała od dodawanych do niej zer.

Pożyczkodawcy mają jednak to do siebie, że bardziej wierzą w dokumenty niż w plotki. Tych, obrotna spadkobierczyni zamorskiej fortuny, dostarczała przez następne... dwadzieścia lat!

W 1882 roku z poręki teścia Teresa Humbert zaciągnęła pierwszy kredyt w wysokości 245 tysięcy franków, nabywając prawdziwy zamek Vives-Eaux. Rok później małżeństwo nabyło drugą posiadłość w Celeyran za okrągłe dwa miliony. Kolejny z zaciągniętych kredytów wynosił 900 tysięcy franków. Rzecz jasna, apetyt obojga małżonków rósł w miarę jedzenia. Bale, stroje, podróże, wreszcie wyposażenie i utrzymanie posiadłości kosztuje. By zdobyć dalszą gotówkę oboje nie wahali się posunąć do fałszerstwa. Oto na odcinkach akcji o nominałach 3, 4 i 8 franków dość łatwo dostawić cztery zera. W tym wypadku Humbertowie niczym nie ryzykowali. Odcinki gwarantujące pożyczkę nie mogły znaleźć się w powszechnym obiegu, a łatwo je było pokazywać niecierpliwiącym się wierzycielom.

Ci zaś zaczynali coraz bardziej szemrać, a drzwi ich kas powoli zamykały się przed potrzebami Teresy i Fryderyka.

SPOSÓB NA DOBRE SAMOPOCZUCIE

By uspokoić podenerwowanych bankierów oboje zaczęli rozgłaszać, że na przeszkodzie do odziedziczenia amerykańskich pieniędzy stanęli bratankowie zmarłego. Tego jednak lichwiarzom było za mało. Wówczas najspokojniej w świecie Teresa przedstawiła zebranym wierzycielom dokument, z którego niezbicie wynikało, że stumilionowy spadek zabezpieczony jest w papierach wartościowych spoczywających... w kasie pancernej znajdującej się w zamku Vives-Eaux. Rzecz jasna, pani domu poprowadziła co bardziej niecierpliwych do gabinetu męża, gdzie stał solidny sejf wyprodukowany przez najlepszą firmę niemiecką. Jego widok całkowicie satysfakcjonował niedowiarków i kredyt ponownie został otwarty. Oczywiście, nie muszę czytelnikowi tłumaczyć, że wnętrze sejfu było puste.

31 października 1885 roku paryskie dzienniki doniosły, że wobec przeciągającego się postępowania spadkowego małżonkowie postanowili wystąpić na drogę sądową przeciw czyhającym na ich dziedzictwo bratankom Crawforda.

Wkrótce też doszło do procesu, w którym Teresa z kamienną twarzą przedstawiła sędziom dokument. W nim to Robert i Henryk Crawfordowie jakoby zrzekali się praw do spadku za odstępne 6 milionów. Kto przy zdrowych zmysłach za sześć milionów zrzeknie się stu?

A jednak sędziowie, dzięki kruczkom proceduralnym wymyślanym przez męża Teresy, w wyroku nakazali nie istniejącym Crawfordom odstąpienie od bezzasadnie wysuwanych roszczeń.

Czy można było znaleźć lepsze, niż sądowe, potwierdzenie, że jest się właścicielem wielkiej fortuny?

Córkę Teresy, 14-letnią Ewę Humbert zaczynają adorować najbogatsi młodzieńcy III Republiki, w tym przyszły prezydent Francji Paul Deschanel.

TEATR MUSI TRWAĆ DALEJ

W roku 1887 zadłużenie pary hochsztaplerów sięga niewyobrażalnej sumy trzystu milionów dzisiejszych nowych franków. Karuzela jednak powinna obracać się coraz szybciej, aż siedzący na niej wierzyciele dostaną zawrotu głowy. Przynajmniej z tego założenia wychodzą Teresa i Fryderyk, przedstawiając fikcyjną apelację Crawfordów. Szopka z procesem rozpoczyna się ponownie. Na kolejny jednak wyrok bankierom przychodzi długo czekać. Wreszcie w 1892 roku kredytodawcy oddychają z ulgą, czytając na pierwszych stronach największych dzienników sensacyjną wiadomość, sąd kasacyjny oddalił roszczenia Crawfordów! Pozostaje tylko czekać na zwrot należności wraz z rosnącymi odsetkami do... 1902 roku, w którym to obie strony... nadal się procesują. Do tego czasu jednak nikt nie widział na oczy owych stu milionów. Teresa znalazła i na to sposób.

Pewnego dnia zaprosiła do swojego apartamentu, mieszczącego się przy alei de la Grande-Armee notariusza zajmującego się jej interesami. Mecenas Dumort z Rouen nieprzypadkowo został obsadzony w jednej z głównych ról tego spektaklu. Był on człowiekiem bardzo zamożnym, a jego klientela wywodziła się z najwyższych sfer burżuazji przemysłowej i kupieckiej Francji. Co więcej, Teresa była mu winna milion trzysta tysięcy franków.

Tak więc pewnego dnia zaprosiła Dumorta do apartamentu, w którym jakoby Robert Crawford dokonywał przeglądu papierów spadkowych. Któż nie chciałby sprawdzić, czy przypadkiem nie został wystrychnięty na dudka?

Pani domu ma tylko jedną prośbę. Gdy Robert Crawford dowie się, że ma do czynienia z prawnikiem, wpadnie we wściekłość i

przyszła ugoda może stać się nierealna. Stąd pani Humbert przedstawi go jako krewnego.

Tak też się stało. Mecenas Dumort zastał pochylonych nad stołem dżentelmenów, którzy w równych pięciu rzędach układali na stole pakiety akcji, po dwieście milionów każdy. To że były one sfałszowane, rzecz jasna, musiało umknąć oczom mecenasa, który nie miał możliwości wziąć ich do ręki. Biedak nie zdawał sobie również sprawy, że Robert Crawford był w rzeczywistości niejakim Romanem Daurignac.

Pani Humbert, przepraszając zajętych liczeniem panów, wyprowadziła szybko krewniaka z gabinetu. Ten był usatysfakcjonowany, gdyż na własne oczy widział owe sto milionów. Nie trzeba dodawać, że wieść ta lotem błyskawicy rozeszła się po Paryżu i przez kolejnych kilka miesięcy małżonkowie mogli bawić się na cudzy koszt.

JAK KRAŚĆ TO DUŻO, JAK SIEDZIEĆ TO NIEDŁUGO

Katastrofa przyszła w dniu ogłoszenia bankructwa przez bank Girard et Cie, któremu Humbertowie winni byli, bagatela, 6 milionów. Likwidator masy upadłościowej nieoczekiwanie zwrócił uwagę na fakt, że Crawfordowie w rzeczywisotości nie mają stałego miejsca zamieszkania. Teresa natychmiast go podała. Ku jej zaskoczeniu dociekliwego Dureta to nie zadowoliło. Na pytanie wysłane do Nowego Jorku, czy przy ul. Broadway 1202 mieszają tacy to a tacy panowie, otrzymał odpowiedź, że nikt nigdy o takim nazwisku nie był tam zameldowany, a Crawfordów nikt nie znał.

Na Humbertów zaczęła się nagonka ze strony węszących skandal dziennikarzy. Wściekli kredytodawcy zwrócili się do sądu o nałożenie aresztu na... spadek. Tylko gdzie go szukać?

Rodzina Humbertów również rozpłynęła się w powietrzu. Wreszcie w 1902 roku dzienniki doniosły, że Teresa i Fryderyk zostali aresztowani w Madrycie.

Na procesie, przyciśnięta do muru pytaniami sędziów, Teresa Humbert oświadczyła dramatycznym głosem: „Spadek nigdy nie istniał. To wielka tragedia rodzinna". Jej dobroczyńca, Crawford, w rzeczywistości nosił nazwisko Regnier i był zdrajcą, który w 1870 roku otrzymał od Prus rzeczone pieniądze za pośredniczenie między Bismarckiem a Bazainem przy kapitulacji Metzu. Sto milionów było ceną zdrady ojczyzny.

Nikt jednak nie chciał w to wierzyć, a wypowiedzianej na sali sądowej sensacji odpowiedział jedynie śmiech.

Wyrok sądu zapadł w miesiąc po rozpoczęciu procesu. Teresa i Fryderyk zostali uznani za winnych oszustw, fałszerstw i czerpania z nich korzyści. Oboje zostali skazani na... pięć lat więzienia. Pięć lat za dwudziestoletnie ograbianie innych z fortuny, którą dziś spokojnie można przeliczyć na sumę 800 milionów nowych franków.

oprac.
PAWEŁ SZLACHETKO

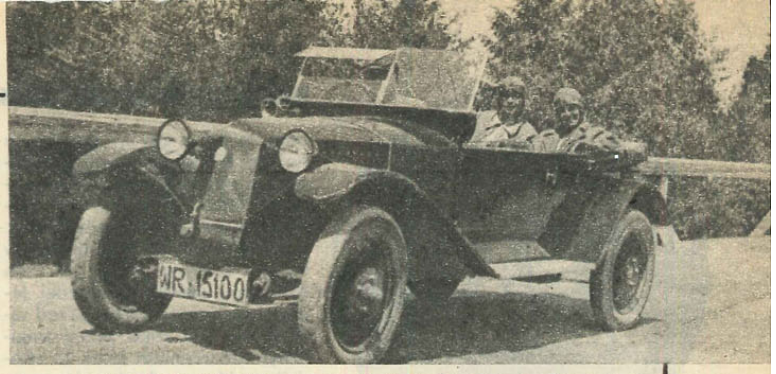

„ŁAPKI" NA SAMOCHODY

Myliłby się ten, kto by przypuszczał, że napady na zmotoryzowanych, to domena naszych czasów. Nic bardziej błędnego. Na drogowych bandytów narzekano już dawno, nawet wówczas, gdy motoryzacja była jeszcze w powijakach.

Wpadł mi niedawno w ręce egzemplarz gazety codziennej z marca 1932 roku. Na pierwszej stronie wielkim drukiem dziennikarz podpisany inicjałami M.K. ostrzegał: „Auta! Uwaga! Ledwo rozpoczął się sezon automobilowy, a już dochodzą wieści o pierwszych zamachach przeciw bezpieczeństwu podróżnych na drogach publicznych. Wiek XX jest bowiem kolebką nowego typu zbrodni, popełnianych na drogach i szosach publicznych. Mamy na myśli tzw. łapki na samochody".

Dzisiaj te „łapki na samochody" określa się mniej eufemistycznie jako rozboje, wymuszenia rozbójnicze bądź po prostu bandytyzm drogowy. Jego ofiarami padają zarówno kierowcy samochodów osobowych, jak i ciężarowych TIR-ów, przewożących tony cennego ładunku.

Autor wspomnianego artykułu przytacza zdarzenie z początków marca 1932 r., kiedy to kilka kilometrów za Myślenicami, na drodze Kraków—Zakopane, nieznani sprawcy ułożyli na drodze kilka wielkich kamieni, zmuszając w ten sposób kierowcę do zatrzymania auta. Potem wypadki potoczyły się błyskawicznie. Z ukrycia wyskoczyło trzech rzezimieszków, którzy bez pardonu pozbawili szofera i podróżnych gotówki oraz kosztowności.

Zbulwersowany tym faktem autor przypomina, że ustawa o drogach publicznych przewiduje w takich sytuacjach odpowiedzialność zbiorową gminy, na której terenie wydarzył się zbrodniczy zamach na przejeżdżający samochód. Dodaje jednak sceptycznie, że nie słyszał jeszcze, aby przepis ten zastosowano kiedykolwiek w praktyce i „czy odniósł on pożądany rezultat w kierunku wychowawczo-odstraszającym".

Jakie motywy

mogą skłaniać do tych czynów? — zastanawiał się przedwojenny dziennikarz. I zaraz dodał: „Przede wszystkim podłożem tego rodzaju zamachów jest wrogie stanowisko wobec ruchu automobilowego(!), zawiść, chęć zysku i zabobon".

Żeby nie być gołosłownym, autor podaje kilka przykładów na potwierdzenie swojej tezy. Pisze o pewnej kobiecie, która odmówiła ręki swojemu adoratorowi, wychodząc za innego mężczyznę. Ten urażony w swej godności, zorganizował na drodze zasadzkę. Dopiero co poślubiona para zginęła w samochodowej kraksie.

Innym razem uciekający przed policją przestępcy ustawili w ciemnościach na jezdni przeszkodę, na którą najechał służbowy automobil. Policjanci doszczętnie go rozbili, sami doznając poważnych obrażeń.

Zanotowano także wypadki — pisze autor — fingowania kraks samochodowych, aby w ten sposób ukryć inne niegodziwe sprawki. Na przykład, pewien szofer, który potajemnie wyprowadził wóz swego szefa, by pojechać nim do narzeczonej, zaaranżował wypadek, usiłując zyskać alibi. Na nic się to zdało, bo oszustwo wyszło na jaw.

Najczęstszym jednak motywem działania ówczesnych przestępców drogowych był — podobnie zresztą jak dziś — napad rabunkowy, pozbawienie kierowcy, czasem i pasażera, bagażu, pieniędzy i kosztowności.

Jak się chronić

przed rozbójnikami drogowymi? — zastanawia się autor. Po czym dzieli środki i metody obrony na dwie grupy: na „środki obronne stosowane przez państwo i na środki obronne, którymi może posługiwać się sama publiczność, jadąca samochodami i szoferzy". Państwo do walki z przestępcami drogowymi ma przede wszystkim policję. To do niej należy „ścisła inwigilacja gospód i hotelików prowincjonalnych, czuwanie nad wędrowcami i wagantami. Szczególnej pomocy mogą użyczyć w tym kierunku gajowi i leśnicy, robotnicy polni, leśni i drogowi, myśliwi, letnicy i właściciele gospód".

Wskazane jest — podkreśla dalej autor — aby okolice szczególnie odwiedzane przez samochody i drogi wiodące do znanych miejscowości klimatycznych i zdrojowych, „objeżdżały często uniformowane lub nieuniformowane patrole policyjne w samochodach i na motocyklach. Nieostrożna albo bezmyślna jazda, gdy szofer nie liczy się z możliwością zamachu, ułatwia przestępcom ich „robotę". Technika, oprócz nieudanych dotąd prób, nie zdobyła się jeszcze na sporządzenie aparatu ochronnego, który zresztą byłby bezskuteczny wobec bardzo licznych i różnorodnych »łapek« samochodowych".

Ponieważ w razie nagłego i niespodziewanego napadu na drodze natychmiastowa pomoc policji jest niemożliwa, dlatego — podkreśla dziennikarz — „pasażerowie samochodów i szofer powinni posiadać przy sobie broń palną, na którą oczywiście otrzymają łatwo pozwolenie, ze względu na cel obrony". Jeśli jednak broni palnej nie mają, do odparcia ataku może posłużyć każdy inny przedmiot, będący pod ręką, jak np. „sznur (?) lub któreś z narzędzi samochodowych".

Obrona — wyjaśnia dalej autor — powinna być bezwzględna, gdyż każde wahanie ośmiela sprawcę. Według prawa będzie to obrona konieczna, a więc zgodna z kodeksem karnym.

Na zakończenie swego artykułu autor udziela pewnych rad automobilistom: „należy przestrzec przed zbyt pochopnym przystawaniem na drodze, gdy żąda tego napotkana osoba, pod pozorem, że chodzi o udzielenie pomocy koleżeńskiej lub ciężko chorej osobie". Radzi też „ostrożną i przepisową jazdę oraz używanie reflektorów, a przede wszystkim zachowanie spokoju i rozwagi".

☆

Pomimo upływu 60 lat przestrogi przedwojennego dziennikarza są jak najbardziej aktualne. Ale choć zagrożenie na drogach jest dziś nieporównywalnie większe, ani kierowca, ani jego pasażer nie otrzymają tak łatwo pozwolenia na broń palną. Obowiązująca bowiem od lat 60. ustawa o broni i materiałach wybuchowych nie jest tak liberalna, jak ta przedwojenna. W tej sytuacji współczesnym szoferom pozostaje jedynie liczyć na szczęście lub „gazrurkę", trzymaną pod fotelem samochodowym.

JERZY PACIORKOWSKI

MIAŁ DOŚĆ SYNA...

Kiedy w 1991 r., po 22 latach służby, podinsp. Jacek K. odchodził z Policji na emeryturę, miał dopiero 44 lata i dwoje dzieci, które należało wychować. Życie rodzinne Jacka K. nie układało się jednak dobrze. Główną tego przyczyną był jego alkoholizm, podejrzewany już przez specjalistów z poradni zdrowia psychicznego (jak wiadomo jednak, służba zdrowia MSW nie zajmuje się leczeniem tej choroby). Diagnoza ta została potwierdzona w dalszym toku wydarzeń przez biegłych psychiatrów sądowych.

Sam Jacek K. uważał, że nie nadużywa alkoholu, a jeśli już pije, to ma mocną głowę i zachowuje się normalnie. Zaprzeczał zwłaszcza temu, że pod wpływem alkoholu jest agresywny wobec domowników, urządza awantury i posuwa się do rękoczynów. Zeznania jego żony oraz sąsiadów świadczyły o czymś zupełnie przeciwnym.

Całą winą za konflikty domowe Jacek K. obarczał dorastającego syna, Marka, który w chwili tragedii miał 18 lat. Ojciec zarzucał synowi, że przychodzi pijany do domu, może nawet narkotyzuje się, a wtedy jest agresywny, grozi mu i wyżywa się na nim.

Problemy z Markiem rozpoczęły się, gdy chodził do szkoły podstawowej. Źle się uczył, a badania psychologiczne wykazały, że miał niski wskaźnik inteligencji. Ojciec jednak, zamiast mu pomagać, szukać pomocy u specjalistów, ograniczał się do „przepychania" syna z klasy do klasy.

Mimo kłopotów z nauką, Marek uczył się w szkole zawodowej, a jednocześnie pracował w zakładzie cukierniczym. Dziewczyna, która pracowała tam razem z nim, przyznała przed sądem, że Marek często pił alkohol na praktykach i wtedy był trochę agresywny, ale że jednocześnie „dawali mu najgorsze roboty, a on wykonywał je bardzo dobrze".

Od dzieciństwa Marek sprawiał problemy wychowawcze. Był okrutny dla zwierząt, lubił się bić, stał się postrachem dla sąsiadów (kiedyś podpalił drzewo przed domem). W wieku 15—16 lat przestał bać się ojca, przed którym matka z młodszą siostrą niejednokrotnie uciekały do sąsiadów i nocowały u nich.

W czasie pobytu na wsi, Marka trzeba było związać, bo chciał się rzucić na ojca z siekierą. Matka, którą oszczędzał, wołała na pomoc sąsiadów, gdy syn groził ojcu nożem. Kiedyś próbował ojca dusić, a w trakcie jednej z bójek wybił mu kilka zębów. Był silny fizycznie, w wieku 18 lat ważył 117 kg.

Świadkami wielu tych bijatyk, w których zarówno ojciec, jak i syn byli pijani, stawali się sąsiedzi. Jeden z nich opowiedział przed sądem, jak pół roku przed tragicznym zdarzeniem Jacek K. chodził po klatce schodowej z nogą od krzesła i mówił, że zabije syna, który też rwał się do bicia. Potem, nie licząc się z sąsiadami, Jacek K. walił w drzwi swojego mieszkania.

Monika K. zamierzała rozwieść się z mężem, ale wycofała pozew. Usiłowała wpłynąć na męża, by zaczął leczyć swoją chorobę alkoholową. Za jej namową poszedł raz na spotkanie w klubie AA, ale nie spodobało mu się, „bo było tam za dużo ludzi i wszyscy palili". Potem pozwolił sobie wszyć esperal, ale po trzech miesiącach abstynencji powiedział żonie, że ten lek mu „wypłynął" i pił dalej — czasami kilka dni bez przerwy. Z powodu pijaństwa Jacek K. stracił pracę w agencji ochrony, w której zatrudnił się po przejściu na emeryturę. Przed sądem tłumaczył: „Organizm zmuszał mnie do wypicia". Mimo utraty pracy pozostał mu pistolet P-83, na który uzyskał pozwolenie po odejściu ze służby.

Dzień przed Świętami Wielkanocnymi 1994 r. Jacek K. jak zwykle był pijany. Gdy zasnął, jego żona „próbowała dzwonić do ośrodka dla psychicznie chorych i do pogotowia policyjnego" — jak zeznawał przed sądem jeden z sąsiadów. Bała się, że po przebudzeniu będzie się znowu awanturował i może użyć broni. Na policji poradzono jej, by schowała pistolet, ale nie uczyniła tego.

Niedzielę wielkanocną, która przypadła w 1994 r. 3 kwietnia, Jacek K. uczcił wypiciem piwa. Po opróżnieniu czwartej butelki poszedł do sklepu całodobowego, by kupić pół litra wódki. Gdy stał w kolejce, zaczepił go nieznajomy mężczyzna, który chciał się napić, ale nie miał pieniędzy. Jacek K. zaproponował mu wspólne wypicie wódki w pobliskich krzakach.

Po powrocie do domu zastał syna — też pijanego. Marek rozmawiał przez telefon ze swoją koleżanką z pracy. Ojciec kazał mu przerwać tę rozmowę, a syn na to nie zareagował. Jacek K. poczuł, jak narasta w nim złość. W pewnym momencie, jak wyjaśniał przed sądem, usłyszał głos: „Musisz zniszczyć to zło". Wtedy wyjął pistolet P-83, który trzymał w tapczanie, potem dwa magazynki i załadował broń. Odepchnął żonę, która próbowała go powstrzymać i wystrzelił w kierunku syna. Monika K. wybiegła do sąsiadów po pomoc. Kiedy wróciła, Marek leżał w przedpokoju w kałuży krwi.

Przerażona córka Jacka K., 10-letnia Maria uciekła na odgłos strzałów do swojego pokoju. Szczególnym i jedynym świadkiem zdarzenia, świadkiem „ze słuchu", była Małgorzata M., która chwilę wcześniej rozmawiała z Markiem przez telefon. Rannemu Markowi słuchawka wypadła z ręki i wisiała na sznurze. Przez nią Małgorzata M. słyszała cały przebieg zajścia, które zrelacjonowała przed sądem. Najpierw Marek powiedział do ojca: „No strzelaj, jak wypiłeś butelkę wódki, to uważasz, że jesteś mocny". Potem usłyszała głos Jacka K.: „Ja cię teraz dobiję". Padł strzał i Marek powiedział — „Tato, to boli", na co ojciec powtórzył: — „Teraz cię dobiję jak psa". Po tych słowach nastąpiła seria strzałów, ktoś położył słuchawkę na widełki.

Strzały zaalarmowały sąsiadów. Niektórzy z nich myśleli, że chodzi o tradycyjne strzelanie na Wielkanoc. Jeden ze świadków zapytał stojącego w progu mieszkania Jacka K.: „Sąsiedzie, co pan tak strzela?" Ten odpowiedział tylko: „Strzelam", po czym wystrzelił następnych kilka kul w kierunku syna. Zdążył też uzupełnić magazynek.

Sekcja zwłok wykazała, że Jacek K. oddał do swojego syna Marka co najmniej 11 strzałów z broni palnej z bliskiej odległości. Spowodował u niego rany postrzałowe głowy, tułowia, kończyn górnych i dolnych. Przybyły lekarz mógł tylko stwierdzić zgon ofiary. Z wykonanych krótko po zdarzeniu badań wynikało, że Jacek K. miał 2,73 promila alkoholu we krwi, a Marek — 2,1 promila.

Wezwanemu na miejsce policjantowi sprawca zabójstwa powiedział, że miał dość syna i jego tyranizowania. Powiedział też, że „wykonał wyrok". Przesłuchiwany przez sąd funkcjonariusz zeznał, że odebrał to jako informację o egzekucji.

Jacek K. przyznał się przed sądem do popełnienia zarzucanego mu czynu i składał wyjaśnienia. Kilkadziesiąt minut zajęło mu wygłaszanie ostatniego słowa. Z jednej strony mówił o swoim żalu z powodu zastrzelenia syna, z drugiej obszernie opisywał jego wady i winy. Użalał się nad swoją córką i chorą żoną, które zostały bez opieki ojca i męża. W trosce o ich los Jacek K. zwrócił się po procesie do sądu o odroczenie wykonania orzeczonej wobec niego kary.

Oskarżonego najbardziej dotknęła negatywna opinia na jego temat w miejscu zamieszkania, dołączona do akt sprawy. Uważał

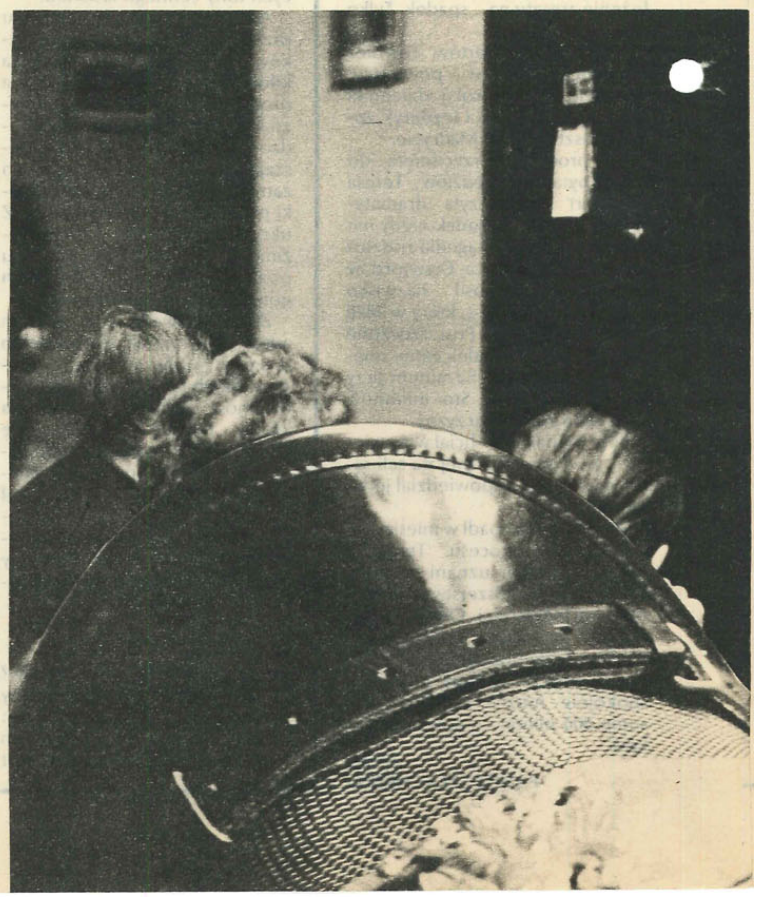

bowiem, że przynajmniej na zewnątrz robił wrażenie „porządnego człowieka". Nie potwierdzały tego zeznania świadków, składane przed sądem. Jeden z nich mówił, że po przejściu na emeryturę widywał Jacka K. nie ogolonego i niechlujnego, choć wcześniej taki nie był. Inny sąsiad mówił o dwóch twarzach Jacka K.: — „Zastanawiało mnie to, że oskarżony na zewnątrz będąc pod wpływem alkoholu był miły i grzeczny, a z drugiej strony żona z córką uciekały z domu i nocowały u nas".

Prokurator wniósł o wymierzenie oskarżonemu kary 10 lat pozbawienia wolności, biorąc pod uwagę stwierdzoną przez biegłych psychiatrów jego ograniczoną poczytalność w chwili popełnienia czynu (art. 25 § 2 k.k.). Obrona prosiła o zmianę kwalifikacji czynu na nieumyślne spowodowanie śmierci (art. 151 k.k.).

Sąd Wojewódzki w Warszawie nie podzielił opinii i wniosków stron, wyrażając nawet zdziwienie, że prokurator żąda zbyt łagodnej kary dla zabójcy syna. 15 września 1995 r. Jacek K. został uznany za winnego zarzucanego mu czynu i skazany na podstawie art. 148 § 1 k.k. w związku z art. 25 § 2 k.k. na 15 lat pozbawienia wolności i 5 lat pozbawienia praw publicznych oraz zapłacenia nawiązek i kosztów postępowania.

W ustnym uzasadnieniu wyroku przewodnicząca składu sędziowskiego SSW Małgorzata Mojkowska stwierdziła, że sąd zastosował złagodzenie kary, ponieważ za punkt wyjścia przyjął maksymalne zagrożenie pozbawieniem wolności, tzn. 25 lat. Sąd podkreślił, że oskarżony zabił własne dziecko w czasie Świąt Wielkiejnocy. Od wielu lat był alkoholikiem i negatywnym wzorem osobowym dla syna, tymczasem całe zło widział tylko w nim. Stan psychiczny oskarżonego sąd ocenił jako zawiniony przez niego samego, ponieważ był spowodowany długotrwałym pijaństwem i niechęcią do leczenia się.

Sąd był zbulwersowany kwestią wydawania zezwoleń na broń byłym policjantom. Z materiału dowodowego (m.in. przesłuchania policjantki pracującej w sekcji, która zajmuje się wydawaniem zezwoleń na broń ostrą i gazową) wynikało bowiem, że przy przedłużaniu zezwoleń na broń nie żąda się badań psychiatrycznych. W przypadku Jacka K. wystarczyło jego podanie z uzasadnieniem, że „czuje się zagrożony jako były policjant".

Nikt nie wziął pod uwagę i zapewne nie interesował się tym, że jeszcze przed zwolnieniem ze służby Jacek K. leczył się w resortowej Poradni Zdrowia Psychicznego, gdzie stwierdzono u niego objawy nerwicowe i podejrzewano alkoholizm. Zastanawia też opinia służbowa, wydana na prośbę Jacka K. już po dokonaniu przez niego zabójstwa, w której stwierdza się m.in., że podinsp. Jacek K. jako funkcjonariusz KGP nie przejawiał skłonności do nałogów. Tymczasem jeden ze świadków, były współpracownik oskarżonego z okresu służby w Policji powiedział przed sądem: „Mówiło się w pracy, że oskarżony nadużywa alkoholu, że ma odchyłki, że się leczył odwykowo".

Do okoliczności wydania zezwolenia na broń Jackowi K. nawiązywała w mowie obrończej mec. Teresa Olszewska, która powiedziała, że nie doszłoby do tragedii, gdyby oskarżony nie miał broni, współwinni są więc ci, co wydali mu zezwolenie.

Z tego punktu widzenia sprawa byłego policjanta Jacka K. i tragedia jego rodziny ma wymiar nie tylko prywatny.

HANNA ŚWIESZCZAKOWSKA

PS Imiona i nazwiska osób występujących w zdarzeniu zostały zmienione.

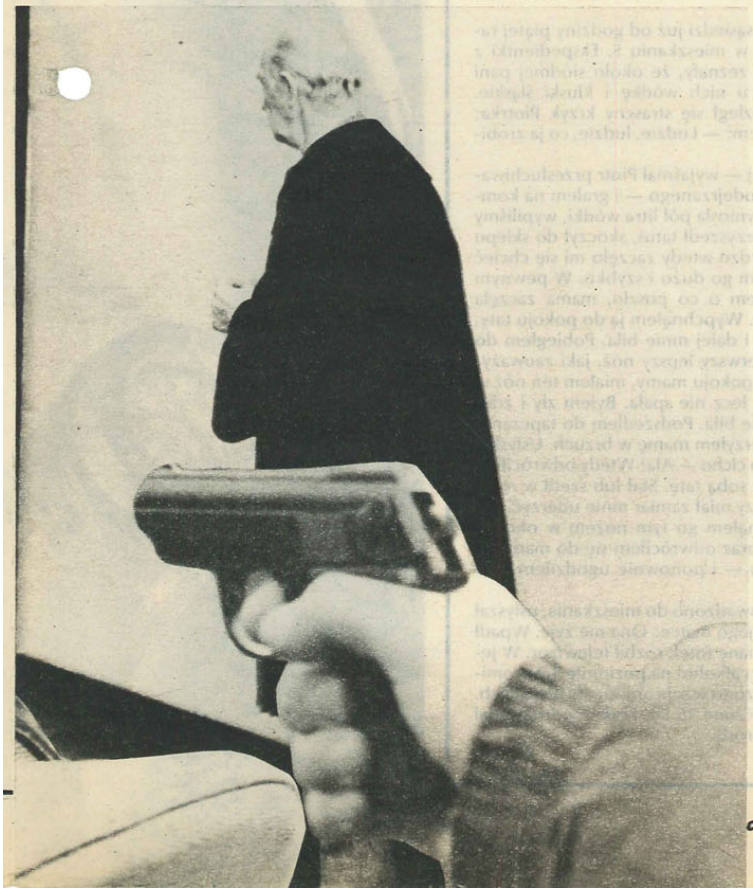

DYPLOM NA URODZINY

W połowie 1994 roku policja łódzka zaczęła otrzymywać informacje, że na rynku działa grupa fałszerzy, u której można zakupić wszelkiego typu dokumenty. Poczynając od praw jazdy, przez notarialne umowy kupna-sprzedaży samochodów, po dyplomy wyższych uczelni i zezwolenia na działalność handlowo-usługową z podpisem i pieczęcią samego prezydenta miasta.

Początkowo penetracja środowiska przestępczego nie przyniosła oczekiwanego rezultatu. Owszem — słyszeli funkcjonariusze — na mieście krąży pogłoska, że jest facet, który może sfałszować nawet podpis Pana Boga...

Tym razem pomógł przypadek. Oto koledzy z Tomaszowa Lubelskiego od jednego ze swoich źródeł osobowych uzyskali wiadomość, iż niejaki Artur B., znany tamtejszym policjantom handlarz alkoholem, na dniach przyjedzie do Łodzi po dyplom wyższej uczelni, który obiecał załatwić znajomej.

Policjanci z Łodzi — mając do dyspozycji fotografie delikwenta — „przejęli" go na dworcu kolejowym. Po dwóch dniach, w czasie których przybysz zażywał rozkoszy wielkiego miasta, trafili jego śladem do Leona C.

— Początkowo chłopaki nie zorientowali się w „rozdaniu" — mówi kom. Stanisław C. z WOR KWP w Łodzi. — Ostatniego dnia pobytu, niemal mimochodem przybysz dotarł na targowisko Górniak. Tu w jednym z barów szybkiej obsługi zjadł hot-doga, wypił piwo i pojechał na dworzec. Trzy dni później z Tomaszowa nadeszła informacja, że dyplom trafił do zamawiającej go damy.

Szczegółowo, i to parokrotnie, zbadaliśmy rozkład zajęć i miejsca bytności delikwenta. Wszystko wskazywało, że tylko w bazarowym barze mogło dojść do transakcji.

Po dwumiesięcznej obserwacji policja skonstatowała, że w barze szybkiej obsługi zbyt często przewijają się znani funkcjonariuszom złodzieje samochodów.

Jednego z nich, Czesława O., zatrzymano, gdy opuszczał targowisko. Przy delikwencie znaleziono nowiutki dowód rejestracyjny na samochód, który po sprawdzeniu okazał się ukradzionym kilka dni wcześniej w Częstochowie autem obywatela Niemiec.

— Kiedy przycisnęliśmy Czesia do muru — kontynuuje kom. Stanisław C. — facet bez ceregieli wskazał na właściciela baru, Leona C., „który wszystko może".

— Tylko że ten gość — usłyszeliśmy w trakcie przesłuchania — to trzecia łapa.

— Mieliśmy jednak świeży trop, którego nie można było odpuścić.

W efekcie, jednego z ostatnich dni sierpnia policjanci zapukali do drzwi mieszkania właściciela bazarowego baru. Wcześniej, w zaparkowanym przed domem samochodzie, odkryto kilkaset druków, którymi można byłoby obdzielić kilkudziesięciu złodziei samochodów tudzież ludzi potrzebujących akcyz na butelki nielegalnie rozlewanego alkoholu.

Zatrzymany nie mógł wyprzeć się trefnego znaleziska. W trakcie jednego z kolejnych przesłuchań wskazał wreszcie osobę, która dostarczała zamawiane wzory dokumentów. Od tej zaś osoby, po nitce, trafiono do właściciela kłębka.

Kiedy funkcjonariusze zapukali do drzwi willi Gerarda N. ten był równie zdziwiony jak pozostali panowie, na których drodze stanęła policja. Swój interes, jak się wkrótce okazało, prowadził niemal „wzorowo". Przede wszystkim po mieście poruszał się samochodami, które nie były zarejestrowane na jego nazwisko. Drukarnię umieścił w wynajętym mieszkaniu, korzystając z aparatów telefonicznych, których właścicielami byli „czyści" dla policji ludzie.

W lokalu, w którym umieścił produkcję fałszywek, policja znalazła kilkaset różnego typu pieczątek, dziesiątki wzorów blankietów gotowych do przekazania odbiorcom.

— Facet mógł praktycznie podrobić każdy dokument — kończy kom. Stanisław C. — i wykonać go w żądanej liczbie egzemplarzy.

Z zebranych danych wynika, że Gerard N. obsługiwał nie tylko teren miasta Łodzi, ale i kilka centralnych województw Polski.

★

Na koniec dodajmy, że pewna pani z Tomaszowa Lubelskiego niezbyt długo cieszyła się dyplomem ukończenia wyższej uczelni. Kiedy spotkała się z policjantami, natychmiast wskazała Artura B., który podarował jej dyplom jako... urodzinowy prezent. Zatrzymany próbował tłumaczyć wszystko sztubackim żartem. Mina mu jednak zrzedła, gdy w jego mieszkaniu funkcjonariusze odkryli kilkadziesiąt podrobionych dowodów rejestracyjnych.

Jeśli chodzi o Łódź — do połowy września 1995 roku za żadne pieniądze nikt nie mógł dostać tam podrobionego dowodu osobistego lub bodaj połowy jakiegokolwiek bądź dokumentu służącego do legalizacji pojazdu.

Jednak życie nie znosi próżni. Podobnie jak przed rokiem do policjantów z WOR zaczynają napływać informacje, że w mieście pojawił się fachowiec, który... Trzeba więc całą robotę zaczynać od początku.

PAWEŁ SZLACHETKO

collage: B. Tallar

JEDYNAK ZABIŁ RODZICÓW

— Przesłużyłem w Policji 27 lat, ale czegoś takiego nie spotkałem — mówi asp. Józef Hanzel, naczelnik Wydziału Policji Kryminalnej w KRP w Cieszynie. — Wprawdzie dwa lata temu, psychicznie chora kobieta zgładziła swoje dzieci, ale to coś innego, niż zamordowanie matki i ojca przez normalnego, 16-letniego jedynaka, w dodatku wyglądającego na cherubinka.

W piątek, 20 października br. w Cieszynie przy ulicy Węgielnej, Piotr S., uczeń drugiej klasy szkoły zawodowej, zadźgał nożem swą matkę i ojca. 40-letnia Jadwiga S. zmarła natychmiast. O trzy lata starszy Tadeusz S. nie przeżył reanimacji, umierając dwie godziny później. Rodzice sami doprowadzili do tragedii pijąc przez cały tydzień alkohol wraz z synem.

— Usłyszałem trzy dzwonki do drzwi — wspomina świadek Michał R., odbywający służbę wojskową w Szczecinie, aktualnie na przepustce. — Otworzyłem, zobaczyłem Piotrka. Był roztrzęsiony, trzepał się cały, palił papierosa. Był tylko w majtkach i chyba w butach, ale nie jestem pewien. Krzyczał: — Dzwoń po pogotowie! Spytałem: — Po co? — a on odpowiedział coś w tym rodzaju, że ugodził nożem ojca i matkę. Zauważyłem, że ma zakrwawioną rękę. Trząsł się i krzyczał cały czas: — Moja mama, moja mama!

Policjanci z kompanii patrolowej, którzy wbiegli na trzecie piętro 10-kondygnacyjnego bloku, ujrzeli przy zsypie na śmieci, prawie nagiego chłopaka z nożem w ręku. Obezwładnili go bez użycia broni. Wewnątrz mieszkania zespół lekarzy kierowany przez doktor Halinę Kosta próbował ratować Tadeusza S.

W większym pokoju na wersalce, w pozycji półsiedzącej spoczywała martwa Jadwiga S., ubrana w białe figi i biustonosz. Nogi miała spuszczone na podłogę, pomiędzy stopami rozlewisko krwi. W majtkach widoczne było przecięcie od pchnięcia nożem w podbrzusze, drugie dostrzeżono na muszelce biustonosza. Obok, na pościeli szczerząc zęby, warczał piesek Saba.

S. uważani byli za normalną, przeciętną rodzinę. Wprawdzie znany był sąsiadom ich nadmierny pociąg do alkoholu, ale nie byli dokuczliwi dla otoczenia. Piotr cieszył się w okolicy nieomal wzorową opinią. Spokojny, grzeczny, drobniutki, uczył się na stolarza w szkole budowlanej. Z nikim nie miał zatargów. Trochę się jąkał na tle nerwowym, co było przedmiotem docinków kolegów. W podstawówce zbierał same piątki, w zawodówce szło mu już trochę gorzej. Matka interesowała się jedynakiem, należała do trójki klasowej. Ostatni raz zawitała do szkoły 10 października, usprawiedliwiając jego nieobecność w szkole. Usłyszała, że ma kilka jedynek. Nie ukrywała przed wychowawczynią klasy, że jej mąż pije.

Tadeusz S., chorujący na padaczkę, rzeczywiście pił nadmiernie. Przepijał całą niewielką, bo 1,8-milionową rentę inwalidzką. Między małżonkami często dochodziło do sprzeczek i awantur na tym tle. Gwoli prawdy trzeba wyjawić, że pani Jadwiga również „tankowała" dzielnie. Ale to ona ze swej pracy w „Elektromontażu" praktycznie utrzymywała dom. Czynsz i inne należności były regularnie uiszczane, nie brakowało na jedzenie. — Ojciec odkąd pamiętam pił wódkę — mówi Piotr. — Był alkoholikiem, ale nigdy się nie leczył. Matka też piła, ale interesowała się mną i tatą, gotowała obiady, sprzątała, chodziła na wywiadówki.

Piotr spróbował alkoholu w pierwszej klasie zawodówki.

— Normalka, piwo, wino — opowiada. — Parę razy upiłem się mocno z kolegami. Było mi wtedy niedobrze. Jak wypiję kilka piw, dwa..., trzy... to jestem wesoły. Podobny skutek, po 6 kieliszkach wódki. Z rodzicami w domu piłem rzadko. Nigdy nie upijałem się tak, by stracić kontakt z rzeczywistością i nie stać na nogach.

W tej pozornie zwyczajnej rodzinie było jednak coś nienormalnego, co legło u podłoża dramatu. To przez to, w zeszłym roku Piotr próbował popełnić samobójstwo łykając całą fiolkę leku. Potem wsiadł na rower i pojechał do lasu. Szukała go policja razem z wojskiem, a on leżał nieprzytomny w deszczu przez dwie doby. Kiedy wywlókł się z gąszczu, nadjeżdżający Niemiec odwiózł go do szpitala.

Ciotka Piotra Irena K. niezbyt pochlebnie opowiada o szwagierce. Twierdzi, że Jadwiga miała awanturnicze skłonności, więc odwiedzały się rzadko. Za to chłopak często przesiadywał u niej.

— Przyszedł w piątek i mówił, że ich pozabija!

Właśnie w piątek, 13 października zaczęła się pierwsza odsłona dramatu zakończonego krwawo tydzień później. — Mama dostała wypłatę i przyniosła do domu wódkę — wspomina Piotrek. — Od tego czasu zaczął się ciąg picia, który trwał do 20 października. Wcześniej podobny ciąg był w lipcu. Od 13 piliśmy cały czas. Jak tylko kończyła się butelka, to mama lub tata szli po następną. Piliśmy tylko we trójkę. Nikt nas nie odwiedzał. Kilka razy upiłem się tak, że poszedłem spać. Rodzice upijali się co dzień. Piliśmy na wesoło. Mama nie wysyłała mnie do szkoły, bo byłem na zwolnieniu lekarskim. Miałem naprawdę grypę.

W feralny piątek sąsiedzi już od godziny piątej rano słyszeli rumory w mieszkaniu S. Ekspedientki z pobliskiego sklepu zeznały, że około siódmej pani Jadwiga kupowała u nich wódkę i kluski śląskie. Przed jedenastą rozległ się straszny krzyk Piotrka: Mamo, mamo! Potem: — Ludzie, ludzie, co ja zrobiłem!

„Wstałem o piątej — wyjaśniał Piotr przesłuchiwany w charakterze podejrzanego — i grałem na komputerze. Mama przyniosła pół litra wódki, wypiliśmy we dwoje. Potem przyszedł tatuś, skoczył do sklepu po 0,7 l. wódki. Bardzo wtedy zaczęło mi się chcieć tego alkoholu. Piłem go dużo i szybko. W pewnym momencie, nie wiem o co poszło, mama zaczęła mnie bić po głowie. Wypchnąłem ją do pokoju taty, ale ona przyleciała i dalej mnie biła. Pobiegłem do kuchni, po nóż, pierwszy lepszy nóż, jaki zauważyłem. Poszedłem do pokoju mamy, miałem ten nóż w ręce. Mama leżała, lecz nie spała. Byłem zły i zdenerwowany, że mnie biła. Podszedłem do tapczanu, nachyliłem się i uderzyłem mamę w brzuch. Usłyszałem, jak powiedziała cicho — Ała! Wtedy odwróciłem się i zobaczyłem za sobą tatę. Stał lub szedł w moją stronę. Nie wiem, czy miał zamiar mnie uderzyć, czy nie, wiem, że pchnąłem go tym nożem w okolice klatki piersiowej. Zaraz odwróciłem się do mamy — ona leżała na boku — i ponownie ugodziłem ją w pierś.

Kiedy Piotra wprowadzono do mieszkania, usłyszał jak lekarka mówi o jego matce: Ona nie żyje. Wpadł w szał, rozwalił o ścianę fotel, rozbił telewizor. W jego krwi stwierdzono alkohol na poziomie 1,9 promila. Zabójcę umieszczono w schronisku dla nieletnich. Ponieważ ma ukończone 16 lat, będzie odpowiadał przed sądem jak dorosły.

A. K. P.

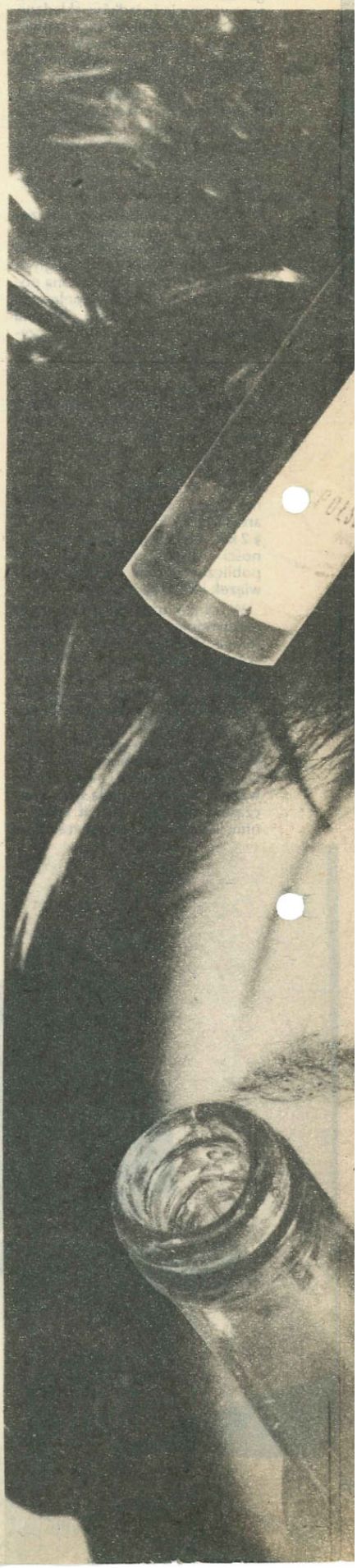

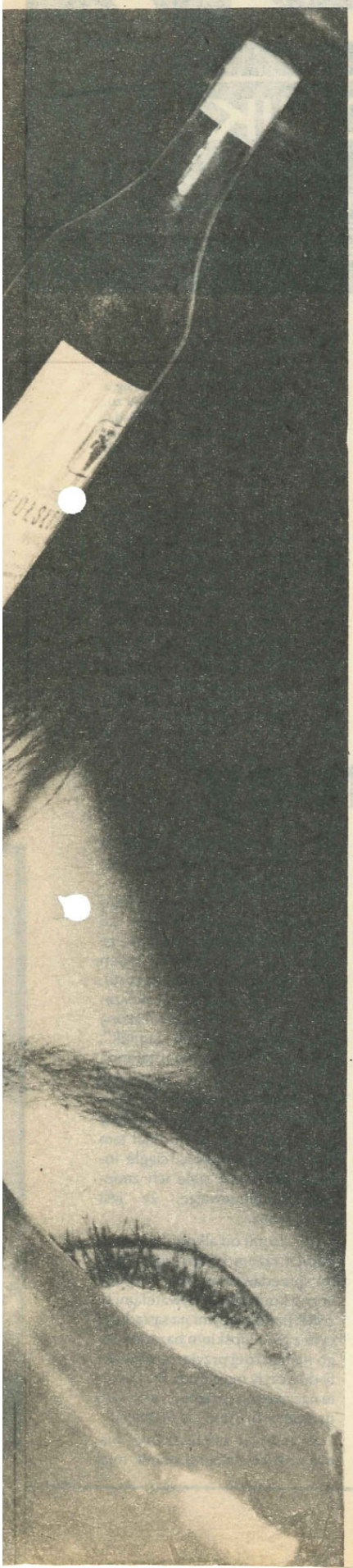

SPALIĆ ZE WSTYDU

Palcami wygrzebywał z puszki resztki skrzepniętej farby, rozcierając ją po drzwiach piwnicy. Ze starego podręcznika wyrwał kartki i zwinąwszy w rulon maczał w brunatnej mazi. Położył podpałkę na progu, chlusnął rozpuszczalnikiem, pstryknął zapałką o draskę. Stał kilkadziesiąt sekund, patrząc jak chybotliwy płomyk wzmaga się, potęguje, przeradza w ścianę ognia obejmującego całą płaszczyznę drzwi. Drzwi, za którymi spała pijana matka.

Sygnał o pożarze dotarł do KRP w Nowej Hucie od dyżurnego straży pożarnej. Niedawno minęła północ, rozpoczynał się wtorek 5 maja, pierwszy roboczy dzień po trzydobowym świętowaniu. Płonęła piwnica jednego z bloków w Osiedlu Na Stoku. Kiedy wywietrzał nieco dym, oczom gaszących ukazały się zwęglone zwłoki kobiety. Nikt nie miał wątpliwości: — śmierć w płomieniach poniosła właścicielka piwnicy 39-letnia Ewa Cz. Tragiczną prawdę potwierdziła matka denatki oraz syn Mariusz.

Ewa Cz. była postacią znaną otoczeniu. W młodości koczowała z hippisami, paliła „trawę", przez jakiś czas, po podjętych próbach samobójczych, leczyła się w Kobierzynie. Zamachy na własne życie podejmowała także później, łykając tabletki i usiłując wyskakiwać z balkonu na trzecim piętrze. Ostatnio powstrzymał ją Mariusz.

Mąż odszedł w 1989 roku, pozostawiając żonę z dorastającym synem na utrzymaniu jej matki. Powód — przewlekły alkoholizm Ewy, która po kielichu stawała się nieobliczalna. O „odwyku" nawet nie chciała słyszeć. Po odejściu małżonka związała się z konkubentem, ale on wkrótce trafił do pomieszczeń z żelaznymi firankami. Odtąd pojawiało się w jej życiu wielu mężczyzn. Przyjmowała ich w piwnicy, którą Mariusz szykował niegdyś na „klub". Pociągnął na dziko prąd, dysponowała więc światłem. Ściany wybiła starą wykładziną podłogową, przywlekła wyrzucone przez kogoś na śmietnik materace i śpiwór, ogrzewała pomieszczenie elektrycznym „słoneczkiem". By ciepło nie uciekało, uszczelniła drzwi gazetami, zawiesiła na framudze kotarę. Na górę, do domu, przychodziła raz na kilka dni, po jedzenie i picie. Sama — matka nigdy nie wpuściła na próg żadnego z jej amantów — wymęczona, skacowana, brudna, zawsze jednak skora do awantur.

W środę, 3 maja, Mariusz siedząc z kolegami na ławce przed blokiem spostrzegł matkę, zataczającą się, trzymającą butelkę w ręku. Podeszła pod okno piwnicy, walnęła pięścią w szybę i krzyknęła: — Wpuszczaj! Po chwili otworzyły się drzwi do klatki i matka zniknęła w środku. Domyślił się, że pije w piwnicy z jakimś nieznajomym. Niedawno poznała jakiegoś Jacka ze Wzgórz Krzesławickich. Nie miał więcej niż 30, góra 35 lat. Lekko łysiał, więc nosił granatową baseballówkę. W południe Jacek zadzwonił do mieszkania przez domofon i pytał o Ewę. Pani Józefa odpowiedziała, że siedzi w piwnicy.

Wieczorem Mariusz poszedł z kolegą do piwiarni „Eden". Wypił — postawione — dwa kufle „EB". Do domu wrócił około godziny 23.00. Babcia leżała już w łóżku. Kiedy szykował się do spania, usłyszał wchodzącą matkę. Klęła, wyzywała babcię, krzyczyła, że jej nie kocha, że brzydzi się nią. — Daj spokój, nie hałasuj! — uspokajała ją babka, lecz Ewa wyzywała ją „od k... i starych sklerotyczek". Nalała do butelki herbaty i wyszła.

Według relacji chłopaka, kilka minut później babka poprosiła, by zszedł na dół zobaczyć, co matka robi. Drzwi wiodące na piwniczne schody zastał jednak zamknięte. Próbował dostać się do piwnicy przez sąsiednie klatki, lecz i one były zaryglowane. Powróciwszy do mieszkania opowiedział o tym babci. Niebawem oboje poczuli swąd spalenizny, dolatujący z sieni. — Rety, pewnie nasza piwnica się pali: — krzyknął Mariusz. Chwycił miskę, napełnił wodą i pognał na dół, na ratunek matce.

Tym razem drzwi do pomieszczeń piwnicznych stały otworem. Podbiegł do właściwego boksu, chlusnął wodą w kłęby płomieni i dymu. Ponownie nabrał wody u sąsiada na parterze. Jednak miał już trudności z dotarciem do piwnicy. Żar osmalił mu brwi i włosy, a duszące opary zatykały gardło. Wykrzykiwał w rozpaczy: — Mamo, mamo! Za ścianą płomieni nikt się nie ruszał, nikt nie reagował. Wypadł więc na zewnątrz bloku. Kopniakiem wytłukł szybę od piwnicy. Zrobił błąd, gdyż w środku ogień buchnął jeszcze silniej.

Przesłuchujący policjanci dostrzegli w zeznaniach Mariusza Cz. pewne sprzeczności, rodzące nieufność wobec jego wypowiedzi. Przesłuchano go więc ponownie, informując, że artykuł 166 k.p.k., zezwala mu na nieudzielanie informacji, które mogłyby skutkować odpowiedzialnością karną. Chłopak rozpłakał się wówczas i przyznał, że podpalił piwnicę wraz z matką.

Zawsze wyrzucał matce złe prowadzenie się, przynoszące wstyd jemu oraz babci. Feralnego, środowego wieczora w irytację wprawiły go głupawe uśmieszki kolegów, obserwujących matkę pijaną, walącą w okno piwnicy. Z ulgą odszedł od nich, przyjmując zaproszenie Roberta do baru. Wróciwszy do domu, przypomniał sobie, że planował pomalowanie zasilacza elektrycznego, który sam zbudował. Zaczął grzebać pod zlewem, gdzie stawiano resztki farb i rozpuszczalników. Obudził przy tym babcię: — Kładź się lepiej spać, nie marudź po nocy! — zagderała. Ale on już miał w głowie konkretny, choć niesamowity, pomysł.

„Nie jestem w stanie wytłumaczyć sobie tego faktu, lecz w tym momencie nasunęła mi się myśl o nastraszeniu matki, poprzez podpalenie drzwi w piwnicy. Zabrałem puszkę i słoik z farbami, starą broszurę z tablicami matematyczno-fizycznymi, plus zapałki. Po cichu, by nie usłyszała babcia, wymknąłem się na korytarz".

Z powrotem nie udało mu się bezszelestnie wsunąć do mieszkania — Gdzie byłeś? — zapytała babka. — Nie bój się, niczego złego nie zrobiłem: — odparł. Dalej było dokładnie tak, jak opowiadał wcześniej. Pognał matce na ratunek. Podczas akcji gaśniczej błąkał się przed domem, wzywał matkę i głośno szlochał.

— „Podejmując decyzję o podpaleniu drzwi nie zdawałem sobie sprawy ze skutków, jakie przyniesie ten czyn. Moim zamiarem nie było spowodowanie śmierci mamy. Chciałem ją jedynie nastraszyć, dać do zrozumienia, że jej sposób bycia i zachowania się, zarówno w stosunku do rodziny, jak i sąsiadów przynosi mnie i jej osobiście wstyd. Bardzo żałuję tego, co zrobiłem".

Józefa W. dotąd nie może pogodzić się z postępkiem wnuka. „Nie wierzę — mówi — by Mariusz podpalił piwnicę. Zawsze ratował matkę, jak coś złego się z nią działo. Na przykład, kiedy bił ją konkubent, postawił się nawet do niego. Kiedy Ewa nie piła wódki, odnosił się do niej w porządku, ale jak była pijana, to się denerwował. Przeżywał silnie, że ona pije i przeklina, bo wielokrotnie przynosiła mu wstyd przy kolegach. Zazwyczaj pyskował, ale wczoraj nie odezwał się do niej. Często płakał przez matkę.

Wczoraj, podczas pożaru strasznie rozpaczał. Wołał, by ratować jego matkę. Mariusz miał złe dzieciństwo. Był znerwicowany. Od momentu rozwodu z mężem, Ewa zaczęła się zadawać z mężczyznami i pić. Chłopak to przeżywał. Wiedziałam, że zazdrości rówieśnikom spokojnych domów. Mówił, że ma tylko mnie. Wiem, że pisał pamiętnik. Odgrażał się, że odbierze sobie życie, bo nie ma ojca i matki. Że jego życie ma sens tylko póki ja żyję. Kiedyś chciał się otruć. Zażył tabletki nasenne, ale go obudziłam".

Prokurator rejonowy dla dzielnicy Kraków-Nowa Huta tymczasowo aresztował Mariusza Cz. pod zarzutem dokonania zabójstwa (art. 148 § 1 k.k) oraz zbrodniczego podpalenia (art. 138 k.k.).

ADAM K. PODGÓRSKI

collage: B. Tallar

997

KRONIKA

Pod redakcją
HANNY ŚWIESZCZAKOWSKIEJ
i ZBIGNIEWA RAZMUKA

Śmierć za ladą

58-letni Ignacy Sojak (na zdjęciu) dorabiał do emerytury, pracując w prywatnym pawilonie handlowym. Pawilon mieścił się w Warszawie na Mokotowie przy ul. Wałbrzyskiej 14/16. Sprzedawano w nim farby i lakiery. Ignacy Sojak znalazł tę pracę przez ogłoszenie i był z niej bardzo zadowolony. Właściciele pawilonu też cenili nowego pracownika, który nie był konfliktowy i nie miał nałogów.

9 czerwca 1995 r., w piątek, ok. 15.30 Ignacego Sojaka odwiedziła w sklepie córka Jadwiga z jego wnuczką. Po piętnastu minutach, o 15.45, wyszły ze sklepu. Trzy kwadranse później, ok. 16.30, przejeżdżał tamtędy autobusem mąż Jadwigi. Przez okna pojazdu zobaczył, że drzwi do pawilonu, w którym sprzedawał teść, są zamknięte, choć zwykle były otwarte na całą szerokość. Zdziwiło go to i pomyślał, że Ignacy Sojak musiał gdzieś wyjść.

Między 17.05 a 17.15 przed sklep z farbami przyjechał małym fiatem klient, który umówił się w tym miejscu z teściową po odbiór glazury. Mężczyzna ten ze zdziwieniem stwierdził, że mimo upału drzwi do sklepu są zamknięte. Nacisnął klamkę i wszedł do środka. Zobaczył bałagan za ladą, porozrzucane rzeczy, butelki. Sądził, że obsunęła się półka z towarem. Nikogo w sklepie nie zauważył i wyszedł.

Po chwili przed sklep przyszły córka i teściowa tego klienta. We troje weszli ponownie do pawilonu, ale i tym razem nikogo nie widzieli. Zaniepokojona teściowa postanowiła zawiadomić rodzinę Ignacego Sojaka, którą znała. Po kilku minutach do sklepu wszedł kolejny klient i zaraz wyszedł. Okazało się, że zobaczył leżącego za ladą mężczyznę, przysypanego butelkami. Wezwał natychmiast lekarza z pobliskiej przychodni rejonowej.

Akcja reanimacyjna nie dała rezultatu i ok. 18.00 lekarz stwierdził zgon pacjenta. W tym samym czasie na miejsce zdarzenia przyjechały dwie załogi policyjne, a następnie ekipa dochodzeniowo-śledcza, prokurator i lekarz medycyny sądowej. Stwierdzono, że zmarłym jest sprzedawca Ignacy Sojak i że został zastrzelony z broni palnej. W lewej kieszeni jego spodni znaleziono chusteczkę, a w niej ponad 1,5 mln starych złotych. Zabezpieczono mikroślady.

Sekcja zwłok wykazała, że bezpośrednią przyczyną śmierci Ignacego Sojaka była rana postrzałowa jamy brzusznej i krwotok wewnętrzny. Ofiara miała też rany postrzałowe głowy, karku, twarzy i klatki piersiowej. Sprawca zabójstwa stał prawdopodobnie w przejściu między ladą a regałem przy prawej ścianie sklepu, a jego ofiara — za ladą w jej środkowej części.

Badania kryminalistyczne wykazały, że znalezione na miejscu zdarzenia cztery łuski i cztery pociski wydobyte z ciała zabitego pochodzą od naboi pistoletowych kal. 6,35 mm wz. Browning.

3 sierpnia 1995 r. pistolet, z którego oddano strzały do Ignacego Sojaka, dostał się do rąk policjantów z KRP Warszawa-Mokotów. Strzelał z niego we własnym mieszkaniu na Ursynowie pijany pracownik agencji ochrony mienia i osób Dariusz J. Jego żona wezwała policję, gdy powiedział, że „zabije kogoś lub siebie".

Technik kryminalistyki z komendy rejonowej, który badał pociski i łuski zabezpieczone w obu sprawach, tzn. morderstwa przy ul. Wałbrzyskiej i strzelaniny w mieszkaniu na Ursynowie, zwrócił uwagę na podobne cechy łusek. Miały nie tylko ten sam kaliber, ale i identyczne ślady od uderzenia iglicy.

Dariusz J. został tymczasowo aresztowany pod zarzutem nielegalnego posiadania broni. W czasie przesłuchania wyjaśnił, że pistolet typu Browning kupił na przełomie czerwca i lipca 1995 r. na warszawskim Stadionie X-lecia od nieznanego mężczyzny. Miał on ok. 30—35 lat, ok. 170—172 cm wzrostu, krępą budowę ciała.

Podjęte czynności operacyjne nie doprowadziły do ustalenia sprzedawcy pistoletu. Stwierdzono też, że linie papilarne zabezpieczone w sklepie, gdzie zastrzelono Ignacego Sojaka nie pochodzą od zatrzymanego Dariusza J. Nie zna go także rodzina ofiary ani właściciele sklepu.

Policja dysponuje zeznaniami świadka, który krytycznego dnia 9 czerwca 1995 r. między godziną 16.00 a 17.00, zauważył, jak z niestrzeżonego parkingu przy ul. Mozarta 3 wyjechał polonez koloru morskiego, w którym było 2 lub 3 mężczyzn w wieku 20—30 lat. Samochód ten z piskiem zatrzymał się przy ul. Wałbrzyskiej (nastąpiło prawie zderzenie z innym pojazdem), a potem bardzo szybko odjechał w kierunku ul. Puławskiej.

Właściciele sklepu z farbami i lakierami, który już został zlikwidowany, nie domyślają się powodu zabójstwa Ignacego Sojaka. Stwierdzili jedynie, że w dniu zdarzenia w kasie sklepowej powinno być ok. 3,5 mln starych złotych, zostały zaś tylko drobne. Wcześniej nie spotkali się z groźbami ani wymuszaniem haraczu. Jedna z policyjnych wersji zakłada, że motywem zbrodni był zabór pieniędzy z utargu. Jej sprawca lub sprawcy pozostają jednak nieuchwytni.

Publikując dotychczasowe ustalenia w tej sprawie liczymy na to, że może zgłoszą się nowi świadkowie, np. klienci sklepu, którzy znaleźli się tam krótko przed lub po zdarzeniu, a nie byli dotąd przesłuchiwani przez funkcjonariuszy Policji. Może ktoś jeszcze widział poloneza, zatrzymującego się przy ul. Wałbrzyskiej i zapamiętał więcej szczegółów? Wszelkie nowe informacje w tej sprawie prosimy kierować do KRP Warszawa-Mokotów, ul. Malczewskiego 3,5,7, tel. 601-74-55 lub 601-74-15.

„Stanley"

9 października 1995 r. ok. 4.40 dyżurny KRP Warszawa-Ochota został powiadomiony przez jednego z mieszkańców bloku przy ul. Kaliskiej, iż obok budynku, na trawniku, leżą zwłoki

mężczyzny. Chwilę wcześniej było tam słychać odgłosy walki i wołanie o pomoc oraz prośby „nie zabijaj mnie..."

Przybyła na miejsce ekipa śledcza stwierdziła, że nieżyjącym jest 45-letni mieszkaniec tego bloku: Stanisław SURMA (na zdjęciu), ur. 01.08.1950 r., kawaler. Zginął od ran zadanych nożem (ogółem miał 16 ran kłutych przeważnie na plecach oraz poderżnięte gardło).

Nieliczni świadkowie tego zdarzenia (obserwujący je ze znacznej odległości) zeznali, że sprawców było dwóch. Jeden dość młody, ok. 170 cm wzrostu, w ciemnych spodniach i skórzanej kurtce, miał przewieszoną przez ramię torbę typu „jamnik". Rysopisu drugiego nie ustalono.

Stanisław Surma prowadził przy Hali Człuchowskiej na Jelonkach nieźle prosperujący kiosk warzywny. Zatrudniał tam dwóch pracowników, ciągle innych, ponieważ stale ich zmieniał, podejrzewając, że jest oszukiwany.

Nie stronił od alkoholu, często popijał razem z zaprzyjaźnionymi sprzedawcami. Miał również liczne kontakty z obywatelami b. ZSRR handlującymi na sąsiadującym z jego kioskiem bazarku. Jego najbardziej przyjazne kontakty dotyczyły mężczyzn. Przyjaciele nazywali go „Stanley", a on sam nazwał swój kiosk „U Stanleya".

W miejscu zamieszkania, mimo pozornie dobrej opinii, miał

liczne zatargi z młodzieżą. Ustalono, że kilkakrotnie wdawał się w jakieś kłótnie i bijatyki.

Codziennie przed 5.00 rano podjeżdżał przed dom jego samochodem (volkswagen bus) pracownik kiosku i zarazem ochroniarz. Razem jechali na giełdę warzywną przy ul. Modularnej, a następnie z towarem udawali się do sklepu. 9 października 1995 r. Stanisław Surma miał wyjątkowo sam pojechać po pracownika. Czyżby ktoś się o tym dowiedział? Po dokonaniu zabójstwa sprawcy zabrali Stanisławowi Surmie saszetkę z pieniędzmi, w której stale nosił ok. 20—30 mln starych zł, prawo jazdy i dowód rejestracyjny samochodu. Prawdopodobnie zabrali mu też z szyi złoty łańcuszek.

KRP Warszawa-Ochota, ul. Opaczewska 32a, prosi o zgłaszanie się dotychczas jeszcze nie ustalonych świadków, policja zapewnia pełną anonimowość. Telefoniczne informacje prosimy bezpośrednio kierować do komisarza Bogdana Lachowskiego, tel. 23-42-58 lub oficera dyżurnego, tel. 603-73-55.

Policja prosi o zgłaszanie się świadków utrzymujących bliższe kontakty (w tym handlowe) ze Stanisławem Surmą, którzy mogliby pomóc w ustaleniu faktycznych motywów tej okrutnej zbrodni.

Policja prosi również o zgłoszenie się świadków, którzy mieli kontakt ze Stanisławem Surmą 8 października (niedziela) 1995 r. po godz. 15.00.

Puste mieszkanie

Warszawska policja poszukuje Stanisławy Makowskiej, (na zdjęciu), córki Stanisława, ur. 20 sierpnia 1937 r., zamieszkałej w Warszawie przy ul. Anielewicza 9.

Rysopis: wiek z wyglądu 50—60 lat, wzrost 157 cm, otyła budowa ciała, włosy krótkie farbowane na blond, oczy zielone,

twarz owalna, poniżej lewego kącika ust — pieprzyk, na brzuchu — blizna pooperacyjna.

Zaginioną ostatni raz widziała jej siostra 2 września 1995 r. Tego dnia Stanisława Makowska odprowadzała ją na Dworzec Centralny. Siostra po tygodniu wróciła z podróży i usiłowała skontaktować się z p. Stanisławą. Telefon nie odpowiadał, więc poszła do sąsiadki, u której Stanisława Makowska zazwyczaj zostawiała klucze, gdy spodziewała się wizyty siostry. Kluczy jednak nie było.

Wtedy siostra Stanisławy Makowskiej poszła pod drzwi jej mieszkania i ze zdumieniem stwierdziła, że są otwarte. W środku widać było ślady plądrowania, zniknęły cenniejsze przedmioty. W mieszkaniu znajdowały się też zakupy, które Stanisława Makowska zrobiła 2 września, ale nie zdążyła ich zużyć.

Wezwana na miejsce policja nie stwierdziła śladów włamania do mieszkania, musiało więc ono być otwarte kluczami. Nie było też śladów walki ani innych (np. plam krwi), które wskazywałyby na to, że mieszkająca samotnie lokatorka została napadnięta w domu i broniła się. Stwierdzono jednak ponad wszelką wątpliwość, że po odprowadzeniu siostry na dworzec 2 września, wróciła tutaj.

Żaden z sąsiadów nie słyszał podejrzanych odgłosów dochodzących z mieszkania Stanisławy Makowskiej ani nie widział w jego pobliżu niczego niepokojącego. Nie sposób jednak ustalić, którego dnia zaginiona po raz ostatni przebywała w swoim mieszkaniu, a więc kiedy mogło ją spotkać coś złego.

Wiadomo, że Stanisława Makowska myślała ostatnio o zakupie działki. Może więc po wyjeździe siostry przebywała na terenie jakichś działek i oglądała je? Gdyby uległa wypadkowi na ulicy lub np. dostała ataku serca — policyjne sprawdzenia potwierdziłyby to.

Jeśli ktokolwiek widział zaginioną Stanisławę Makowską po 2 września 1995 r. lub może przyczynić się do ustalenia jej losu, proszony jest o skontaktowanie się z Komendą Stołeczną Policji, Sekcją Poszukiwań, Warszawa, ul. Nowolipie 2, tel. 603-64-62 lub 603-63-81.

Nie lubiła szkoły

18 września 1995 r. matka 14-letniej Katarzyny Sierak z Warszawy zgłosiła policji, że córka od trzech dni nie pokazuje się w domu.

Dziewczyna chodziła do siódmej klasy, ale nauka nie była jej pasją. Wagarowała, sprawiała kłopoty wychowawcze, paliła papierosy. Od czasu zerwania kontaktu z rodziną nie pokazuje się także w szkole. Istnieją dane, aby przypuszczać, że związała się ze znacznie starszym od siebie mężczyzną (30-letnim), który wyszedł z więzienia. Człowiek ten jednak twierdzi, że nie wie, gdzie jest Kasia.

Katarzyna Sierak (na zdjęciu), córka Mariana, urodziła się 26 lutego 1981 r., mieszkała w Warszawie przy ul. Łochowskiej 13. Wygląda na 14 lat, ma 158 cm wzrostu, wysmukłą budowę ciała, włosy proste koloru ciemny blond (być może ostatnio rozjaśnione „pasemkami"), oczy szare, pieprzyki na twarzy.

Policja zwraca z niepokojem uwagę, że obniża się wiek dziewcząt znikających z domu w podobnych okolicznościach. Przypomina więc, że karalne jest zarówno przetrzymywanie nieletniej bez zgody jej rodziców lub opiekunów, jak też utrzymywanie z nią intymnych kontaktów. W każdym przypadku grozi kara za czerpanie korzyści z cudzego nierządu. Informacje w sprawie Katarzyny Sierak prosimy kierować do Komendy Stołecznej Policji Warszawa, ul. Nowolipie 2, tel. 603-64-62.

We wszystkich opisanych sprawach można też napisać lub zadzwonić do naszej redakcji („Magazyn Kryminalny 997", Warszawa 12, ul. Domaniewska 36/38, tel. 601-61-26) lub zawiadomić najbliższą jednostkę Policji, tel. 997.

AKCJA NA BAZARZE

Bazar przy ul. Śląskiej w Radomiu od dawna spędzał sen z powiek policjantom. Był to raj dla grup przestępczych i pseudohandlarzy zza wschodniej granicy. Sprzedawali alkohol, spirytus, nawet narkotyki, wymuszali haracze. Miasto nie miało pieniędzy, by zorganizować tu handel w godziwych warunkach. Władze lokalne zdecydowały się wystawić teren na przetarg. W efekcie właścicielem 12 tys. m² przy ul. Śląskiej stała się austriacka firma Billa Polen.

W miejscu zajmowanym dotąd przez bazar ma rozpocząć się budowa nowoczesnego supermarketu. Projekt ten spotkał się ze sprzeciwem części właścicieli bud i straganów. Nie chcieli przenieść się na nowe proponowane im miejsca, a zaczęli strajk okupacyjny. Działania Policji i Straży Miejskiej, które miały skłonić handlujących do opuszczenia terenu bazaru nie przyniosły rezultatu. Konflikt trwał od 1 lipca br.

W tej sytuacji policja, na pisemną prośbę władz miejskich, zdecydowała się na podjęcie działań. Zaplanowano je na poniedziałek 9 października, przed czwartą rano. Zaproszono dziennikarzy z prasy lokalnej, by mogli obserwować i obiektywnie napisać o przebiegu akcji. 160 policjantów i strażników miejskich dało sobie radę bez większych problemów z ok. 40 „okupantami" bazaru.

Policjanci z oddziału prewencji i grupy antyterrorystycznej byli uzbrojeni w tarcze, hełmy z przyłbicami, długie pałki i gaz łzawiący. Policja dysponowała także armatką wodną. Akcją dowodził komendant rejonowy Policji w Radomiu podinsp. Zenon Rutkowski. Najpierw wezwano handlujących do opuszczenia bazaru. Gdy to nie poskutkowało, policjanci wyprowadzili najbardziej opornych. Kierowcy samochodów dostawczych sami odjechali.

Natychmiast po akcji na opuszczony plac wjechały koparki i spychacze. Zniwelowany teren został ogrodzony. W tym czasie policyjny odwód czekał w pogotowiu. Jak relacjonowało następnego dnia radomskie „Słowo Ludu", do stojących w hełmach i kamizelkach kuloodpornych policjantów podchodzili ludzie usunięci z bazaru. — Nie tak wyobrażaliśmy sobie kapitalizm — mówili. — My też nie — słyszeli w odpowiedzi. W tym momencie nie było już wrogości ani niechęci.

Jednak, jak poinformował nas rzecznik prasowy KWP w Radomiu Tadeusz Kaczmarek, sprawa „ulicy Śląskiej" nie ucichła. Niezadowoleni kupcy napisali do rzecznika praw obywatelskich i ściągnęli ekipę telewizyjną, by zrealizowała reportaż o tym, jak zostali potraktowani. Powtarzają się pretensje pod adresem władz miasta za „popieranie kapitału zagranicznego" i pod adresem policji za to, że użyła przemocy.

Zarzuty o brutalności policji nie znajdują potwierdzenia w relacjach obserwatorów akcji — dziennikarzy lokalnej prasy. Autor informacji w „Dzienniku Radomskim" z 10 października 1995 r. podkreśla, że akcja była prowadzona bardzo sprawnie, a użycie dużych sił miało na celu przede wszystkim niedopuszczenie do bezpośrednich starć. W ilustrującym tę informację fotoreportażu nie widać żadnych drastycznych scen. Podobny jest wydźwięk artykułu i zdjęć zamieszczonych tego samego dnia w „Słowie Ludu".

H.Ś.

KONKURS SUKCES

LISTY OD „SYNA PIEKIEŁ"

Dwa lata szukała częstochowska policja maniaka, który w kilku listach, podpisywanych: „Son hell" — Syn Piekieł, groził śmiercią tysiącom mieszkańców podjasnogórskiego grodu. W 1993 roku groźby szantażysty postawiły na nogi wszystkie służby policyjne oraz municypalne. Gróźb tych nie wolno było lekceważyć.

Do pachołków Narodu Polskiego — adresowany był list, który 15 czerwca 1993 r. dotarł do Prokuratury Rejonowej w Częstochowie, i oznajmiał (zachowano pisownię oryginalną): — *Pisze do Was morderca tysięcy ludzi, którzy nie wiedzą jeszcze, jaki los chcę im zgotować. Oni jeszcze żyją, cieszą się latem, miłością i sukcesami, które osiągają, młodością bądź też spokojną starością. Jestem młodym dwudziestoletnim człowiekiem, którego życie zamieniło się w piekło, mianowicie w piekło porażek, rozczarowań i upokorzeń. Mieszkańcy mego miasta są przyczyną tego wszystkiego. O — nie wszyscy, garstka zaledwie, lecz wmyśl zasady odpowiedzą wszyscy za jednego. Zdaję sobie sprawę z tego, jak nie ludzki ma być mój czyn, ponieważ nic nie mam światu już do powiedzenia oprócz słów pełnych jadu i nienawiści, nic do ofiarowania, chcę mu się zrewanżować w podobny sposób, w jaki on potraktował mnie rękami istot go zamieszkujących. Nie chodzi mi o sławę — nawet sławę niechlubną, chcę pozostać w cieniu mej zbrodni. Tak tylko można bowiem nazwać wrzucenie do przepompowni miejskich wodociągów 1,5 kilograma czystego cyjanku potasu. Nie, ja nie żartuję? To wszystko brutalna prawda! Napis na opakowaniu 50-kilogramowego pojemnika, w którym był przechowywany brzmi jednoznacznie: Cyjanuro di potaso. Produkt pochodzi ze słonecznej Italii i — o ironio losu! — bezlitosnym zrządzeniem los ten zgasi słońce woczach tych, którzy w dniu 31 czerwca odkręcą kurki swych kranów, aby zużytkować chłodną i orzeźwiającą wodę z podgórskich akwenów. Nadszedł wkońcu czas aby wyjawić nazwę miejscowości, chyba, że stempel pocztowy wcześniej ją zdradził. Otóż jestem mieszkańcem Świętego Miasta i wy również".* I tak dalej przez parę stronic.

Styl i ton listu nakazywały, by potraktować go poważnie. Tym bardziej opis metody zamachu, pewne dane techniczne i wreszcie motywy zatrucia wody, brzmiały dość wiarygodnie. Przecieki o zamiarach cyjankowego szantażysty przedostały się do prasy, wywołując pewien rezonans społeczny. Trudno wprawdzie powiedzieć, że wzbudziły panikę, ale pewien stan ekscytacji na pewno. Częstochowianie poczęli masowo wykupywać wodę mineralną.

Na policję spadło trudne zadanie rozpoznania rzeczywistego zagrożenia. Wspólnie ze służbami wodociągów miejskich obstawiono i sprawdzono wszelkie ujęcia wody w województwie, wszelkie studzienki, stacje pomp, filtry, zbiorniki. Nigdzie nie stwierdzono zatrucia. A jednak śledztwo, zlecone przez prokuraturę do prowadzenia Komendzie Rejonowej Policji trwało i obejmowało wciąż nowe kierunki.

Ekspertyzy grafologiczne nie dostarczyły wielu przesłanek do budowania wersji osobowych. Sprawca posługiwał się bogatą polszczyzną, precyzyjnie oddającą myśli, bez cienia nalotów gwarowych czy slangu zawodowego. Znawcy szacowali jego wiek na 17—24 lata.

16 lipca 1993 roku do lokalnego dodatku „Gazety Wyborczej" dotarł kolejny anonim, powtarzający wiadomą już groźbę. Tym razem autor żądał okupu w wysokości 100 tysięcy dolarów. Właściwie, należałoby rzec 500 tysięcy, jako, że kwoty po 100 000 USD powinny być umieszczone w pięciu walizkach i podłożone w różnych wskazanych miejscach. Jeden pakunek z pieniędzmi miał być podjęty przez szantażystę.

List zdopingował aktywność policji, choć nadal niewiele ona wiedziała. Wzmocniono ochronę sieci wodociągowej. Wykonano kolejne ekspertyzy grafologiczne. Wykazały one, że pismo pisała inna niż poprzednio osoba. Niemniej typowano różnych ludzi ze skłonnościami do pieniactwa, psychicznie chorych, zasypujących urzędy swymi pretensjami, osoby w przeszłości karane lub podejrzewane o stosowanie gróźb karalnych. Bacznie przyglądano się pracownikom wodociągów, gdyż przecież, także wśród nich, mógł się czaić psychopatyczny osobnik.

W sierpniu do Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Częstochowie nadszedł kolejny list, związany z zagrożeniem, chociaż nie formułujący żadnych gróźb czy postulatów. Ktoś anonimowy przekazywał sugestię, by sprawdzić wszystkie miejskie ujęcia wody pod kątem poszukiwania cyjanku potasu. Nadawcy tej przesyłki również nie ustalono.

W listopadzie 1993 roku prokurator umorzył postępowanie przygotowawcze z powodu niewykrycia sprawcy. Ale nadal toczyło się rozpracowanie operacyjne. Dokonywano kolejnych ekspertyz pismo- i językoznawczych. Pewne namiary operacyjne wytyczyły kierunek podejrzeń wiodący do częstochowskich zakładów karnych. Wzięto pod lupę niektórych pensjonariuszy.

W kwietniu 1995 roku uzyskano informacje na tyle konkretne, że śledztwo wznowiono. W jego toku zdobyto dane demaskujące „Syna Piekieł". Pojawiał się jeden szkopuł — żaden z listów nie był kreślony jego ręką. Dalsze czynności policyjne doprowadziły jednak do ustalenia wykonawców dwóch pierwszych listów z pogróżkami. Jeden wypichcił 21-letni Dariusz P. włamywacz przebywający w częstochowskim Areszcie Śledczym, namówiony i opłacony 5. paczkami papierosów. Drugi wysmarował zastraszony Maciej L. z Kielc.

Treść obu listów podyktował „pisarzom" 24-letni Robert M. wielokrotnie karany za kradzieże, także z włamaniami oraz za usiłowanie zgwałcenia. Ostatni zainkasowany przezeń wyrok opiewa na 15 lat. W więzieniach przebywa M. od marca 1993 roku. Pomysł z cyjankiem nie przyszedł mu sam do głowy. „Zerżnął" go żywcem z pewnego artykułu w „Detektywie", łącznie z cytowanym listem.

Prowadzący śledztwo nadkomisarz Bogdan A. (przez wzgląd na pracę operacyjną nie życzy

SYPNĘŁO „GUMISIAMI"

Rozpoczęty przed Sądem Wojewódzkim w Krakowie proces Sylwestra A. — osławionego „Gumisia" znów skierował zainteresowanie mediów i opinii publicznej na zjawisko szantażu publicznego i terroryzmu. Wyczyny „Gumisia" przeszły już do historii. Przypomnę, że od 1 do 22 września 1994 trzymał on w szachu Kraków, podkładając ładunki wybuchowe na dworcu PKS, w kościołach: Mariackim i u św. Floriana oraz w klasztorze oo. Dominikanów. Tą drogą pragnął wymusić okup w wysokości 500 tysięcy DM lub równowartość tej kwoty w dolarach amerykańskich. W śledztwie, do podrzuceń bomb w świątyniach dorobił antykościelną ideologię, twierdząc, iż pragnął przeciwstawić się wszechwładzy kleru katolickiego.

„Gumiś" miał jednak poprzedników i następców. Swoich „Gumisiów" miała również Częstochowa. Męski głos informował przez telefon służby miejskie o podłożeniu materiałów wybuchowych w sklepie przy ul. Zana, na dworcu PKS, w Miejskim Zespole Pomocy Społecznej oraz dwukrotnie w kompleksie szkół przy ulicy — nomen omen — Augustyna. Wkrótce miasto przeżyło serię podpaleń piwnic. Spłonęło ich kilkanaście. Ogień strawił również wytwórnię kasków, ogrodową altankę i stary dom w Dżbowie. Podczas jednej z akcji gaśniczych strażacy w ostatnim momencie zapobiegli tragedii na dużą skalę. Ogień szalejący w piwnicy sięgał prawie instalacji gazowej.

Sprawców podpaleń udało się ująć. W trakcie przesłuchania policjant zwrócił uwagę, że głos jednego z podejrzanych przypomina głos „Gumisia" utrwalony na taśmie magnetofonowej. Zanim nadeszły wyniki badań fonograficznych obaj mężczyźni przyznali się także do bombowych wygłupów.

Wcześniej niż „Gumisie-piromani" ujawnił się pod Jasną Górą „Syn Piekieł" alias „Son hell" (piszemy o nim obok), który pomysł najzwyczajniej w świecie zerżnął od „Demona Ciemności", który w 1992 roku groził skażeniem ujęć wody pitnej w Kotlinie Jeleniogórskiej. „Konsekwentnie z zimną logiczną premedytacją wykonam swój plan — plan unicestwienia życia na szczeblu wysokozorganizowanej substancji białkowej — pisał „Demon". — To zemsta za to, co spotkało mnie od ludzi. Szkoda, że zniszczeniu ulegną również jednostki wartościowe, ale nie mam innego wyjścia..." Autorem listu był 22-letni chłopak, leczony psychiatrycznie, jedynak utrzymywany przez ojca alkoholika.

W Zawierciu najprawdziwsze, zdolne do wybuchu ładunki podkładał w windach wieżowców niejaki „Tiger", do dziś nie zidentyfikowany. Na Podbeskidziu szalał z kolei „Skorpion". Wysłał list do „Fiata Auto Poland", do spółdzielni „Społem" oraz do prywatnej firmy „Imprex-Rol". Zapowiadając wysadzenie w powietrze sieci sklepów, lakierni oraz domostw szefów wymienionych przedsiębiorstw, żądał niewiele... 10 tysięcy dolarów okupu. Tylko od „Fiata" zażyczył sobie 10 miliardów złociszy. Porzechwalał się, że potrafi produkować „koktajle Mołotowa" i posiada toksagen. Podpisywał się

sobie ujawniania nazwiska) z KRP w Częstochowie twierdzi, że choć teraz wiadomo, iż groźby były fikcyjne, to przecież wtedy, gdy zaistniały, wywołały wiele zamieszania. Całkiem realną, ze względu na ujawnioną łatwość komunikowania się Roberta M. ze światem przestępczym na zewnątrz aresztu, pozostawała również możliwość podjęcia okupu. Oczywiście nie przez niego, lecz przez wspólników.

Robert M. wzorem doświadczonych kryminalistów, wypiera się udziału w szantażu. Policja dysponuje jednak niezbitymi dowodami. Przede wszystkim pamiętnikiem, który pisał z nudów w murach aresztu i w którym dosłownie wręcz cytuje treść pierwszego listu do prokuratury. Także wycinkami z gazet, które dotyczyły szantażowania całych społeczności lokalnych groźbą użycia cyjankali. W 1993 roku podobna historia wydarzyła się w Rzeszowie, a wcześniej w Jeleniogórskiem.

ADAM K. PODGÓRSKI

także jako „Grupa Skorpiona", „Grupa dywersyjna" oraz „Sprawiedliwi". W swych epistołach podawał, że jego bojówka porwała w styczniu Anię Jałowiczór z Simoradza (na marginesie; dziewczynki dotąd nie odnaleziono) i zabiła Mirosława Majora, dyrektora kopalni „Staszic" (zginął z ręki Zdzisława Maneckiego). 5 kwietnia 1995 roku policja dotarła do „Skorpiona" — 42-letniego Stefana R., rencisty, do niedawna likwidatora upadających firm.

W Czechowicach-Dziedzicach zmaterializował się ponownie... Al Capone. W pismach adresowanych do komisariatu Policji, niewprawna dłoń kreśliła, infantylnymi zdaniami, żądania okupu: 100 tysięcy dolarów i 200 milionów złotych. W razie niespełnienia „prośby" miastu groziła zagłada wywołana detonacją 100 bomb rozmieszczonych w różnych punktach. Po umiejętnej grze operacyjnej policja ujęła młodego człowieka karanego za kradzieże i fałszerstwa dokumentów. W jego mieszkaniu znaleziono koronny dowód — nie wysłany, kolejny list z pogróżkami.

W bieżącym roku, w tym samym mieście policjanci dokonawszy sprytnej kombinacji operacyjnej dopadli kolejnego szantażystę, 19-letniego Michała J. Od kilku miesięcy straszył on znanego biznesmena, właściciela firmy handlowo-produkcyjnej, uchodzącego w okolicy za krezusa. „Jeśli nie złożysz pieniędzy, wylecisz z rodziną w powietrze" — zagroził w jednym z trzech listów. W każdym potęgował skalę zagrożenia i zwiększał w postępie geometrycznym wielkość haraczu. Złożony okup podjął jego kolega. Obu ujęto w trakcie przekazywania sobie łupu.

Jak widać, urodzaj na „Gumisiów", „Skorpionów", „Tygrysów" i tym podobnych rodzimych „Dagobert Ducków" wciąż trwa.

AKP

SPECJALIŚCI OD MALUCHÓW

Do tej rozprawy trzeba będzie chyba dokonać przemeblowania w sądzie, potrzebna będzie bowiem wyjątkowej długości ława oskarżonych, aby zmieściło się na niej 36 osób. Tyle objętych zostało aktem oskarżenia w sprawie kradzieży samochodów. Wydawać by się mogło, że chodzi o prawdziwą mafię, rozbudowaną i powiązaną na dziesiątki sposobów, a oskarżeni to supergangsterzy. Tymczasem wysoki sąd będzie miał przed sobą jako złodziei kilkunastu młodych ludzi z biednych wiejskich rodzin, jako paserów zaś — podobnych „bogaczy", w tym rencistów czy ubogich pracowników, właścicieli 12 i 15-letnich maluchów...

Krąg sprawców przestępstw kradzieży i paserstwa nie od razu był taki szeroki. Cały proceder zaczęło trzech. Dwóch było złodziejami, trzeci pośrednikiem w transakcji sprzedaży. No i oczywiście był ten czwarty — nabywca, czyli paser. Który z nich pierwszy wpadł na pomysł kradzieży na zamówienie trudno dziś powiedzieć, w każdym razie kiedy Robert F. i Marcin M. szli na pierwszą „robotę" mieli już konkretnego odbiorcę. Poszło im niezwykle łatwo. W upatrzonym samochodzie najpierw wybili szybkę wywietrznika, potem dostali się do środka, zwarli przewody stacyjki i ruszyli od razu do klienta wskazanego wcześniej przez pośrednika Leszka W.

Od tej pory mechanizm działania sprawców był podobny. Najpierw był klient — potem towar na zamówienie. Kradli głównie maluchy. Klientów naganiał im nie tylko Leszek W., ale także coraz więcej pośredników — kolegów z ich i okolicznych wsi. Obaj „zleceniobiorcy" spotykali się z klientami osobiście i ustalali szczegółowo warunki transakcji. Chodziło głównie o rocznik i kolor samochodu oraz termin i cenę. Skradzione auto dostarczali od razu do domu klienta.

Kupujący, aby móc zalegalizować kradziony pojazd, dokonywał sam albo przy pomocy zaprzyjaźnionego warsztatu zmian numerów nadwozia i silnika. Z reguły polegało to na tym, że nabywca miał już samochód tej samej marki, tylko bardzo stary i zniszczony i teraz z niego przemontowywał numery do nowszego auta. Dzięki temu dane nowego samochodu odpowiadały tym, które widniały w dokumentach.

Nabywcy rekrutowali się głównie spośród posiadaczy starych maluchów, którzy w ten sposób, za niewielkie pieniądze, zyskiwali nowe auto na legalnych papierach. Za samochód wart na przykład 4700 nowych złotych nabywca zapłacił 600 złotych. Nic więc dziwnego, że na zasadzie szeptanej informacji, wieść o możliwości kupienia taniego samochodu rozeszła się po okolicy szybko. Już nie tylko Leszek W. przyprowadzał do Roberta i Marcina kolejnych chętnych, pośrednikami stali się także inni ich znajomi. Robert i Marcin zaczęli mieć pełne ręce roboty. Dlatego musieli wciągać do pomocy kolejnych kolegów.

Obaj pochodzili z biednych podkieleckich wsi. Ukończyli zaledwie szkołę podstawową i mając 19 lat nigdzie nie pracowali, pozostając na utrzymaniu rodziców, uprawiających parę morgów nieurodzajnej ziemi. Tacy sami byli kolejni ich wspólnicy, chłopcy z tej samej i z sąsiednich wiosek, których dobierali sobie, idąc na „robotę". A raczej — jadąc, bo przecież na wsi nie było łatwo o towar, którym handlowali. Trzeba było udać się po niego do miasta. Na nocne wyprawy do Kielc podwoził ich któryś z kumpli posiadający własny samochód. On też miał za zadanie asekurować ich.

Z czasem chłopcy zaczęli realizować zamówienia hurtowo. Ponieważ do Kielc musieli dojechać, a kumpel za podwózkę liczył sobie na ogół nie mniej jak 50 nowych złotych, nie marnowali czasu i podczas jednej nocnej akcji potrafili ukraść dwa — trzy samochody. Wszystkie od razu odstawiane były do umówionych wcześniej nabywców. Ryzyko handlowe było więc niewielkie, wiadomo było z góry, że na towar jest kupiec, że odpada niebezpieczeństwo ukrywania kradzionego auta itd.

Jak to jednak w życiu bywa, zdarzały się też i wypadki przy pracy. Pewnej nocy chłopcy skradli zamówionego przez któregoś z pośredników poloneza. Tym razem nie przyprowadzili go do bezpośredniego nabywcy, lecz do pośrednika, który miał odstawić auto do klienta w innej miejscowości i przywieźć pieniądze. Następnego dnia wrócił z kwaśną miną — klient nie zaakceptował towaru, samochód był za stary i nie w tym kolorze, który mu odpowiadał. Towar wrócił więc do sprzedawców, którzy wcale się tym zbytnio nie zmartwili. Nawet nie zadali sobie trudu poszukania innego kupca. Łatwo przyszło, łatwo poszło — wywieźli samochód do lasu, jak najdalej od swojej wsi i tam porzucili.

Taka sytuacja powtórzyła się im jeszcze raz, kiedy to klient nie odebrał zamawianego malucha. Zareagowali podobnie — tyle że tym razem podpalili auto.

Tylko jeden raz ukradli samochód bez specjalnego zamówienia. Stało się tak trochę przez przypadek. Otrzymali zamówienie na auto zachodnie. Tym razem zmienili rejon działania i zamiast do Kielc udali się do Końskich. Tam wypatrzyli zaparkowane na ulicy Audi 80. Nie mogli od razu zabrać się do dzieła, ponieważ w tym rejonie kręciło się zbyt dużo ludzi. Pojechali więc dalej i korzystając z okazji, ukradli małego fiata. Jeden odjechał nim, dwaj natomiast powrócili do audi. W okolicy panował spokój, szybko więc wybili szybę i dostali się do środka. Niestety, audi posiadało system zabezpieczeń, którego nie byli w stanie pokonać, musieli więc zrezygnować. Na pocieszenie pozostał im skradziony ciut wcześniej maluch. Ponieważ nie mieli na niego konkretnego kupca, postanowili sprzedać auto na giełdzie samochodowej. Niestety, nie znaleźli chętnego. Bez żalu porzucili auto gdzieś po drodze i postanowili nie ryzykować więcej kradzieży w ciemno.

collage: B. Tallar

W kilkunastoosobowej grupie tych, którzy kradli, było kilku nieletnich. Radzili sobie nie gorzej niż ich starsi koledzy. Kiedy Artur K. wsiadł do skradzionego chwilę wcześniej malucha i zorientował się, że nie ma w nim akumulatora, nie speszył się wcale, tylko wyszedł i skradł akumulator z samochodu stojącego obok.

Cała rozrastająca się coraz bardziej grupa złodziei i paserów działała ponad dwa lata. Ukradli kilkadziesiąt samochodów wartych łącznie ponad 100 tys. nowych złotych. Policji udało się odzyskać samochody i części wartości ponad 80 tysięcy. Biorąc po kilkaset nowych złotych od sztuki złodzieje nie dorobili się niczego. Wszystkie zarobione w ten sposób pieniądze natychmiast przepuszczali. Na wino, papierosy, dyskoteki.

ELŻBIETA SITEK

Tatiana K., 25-letnia obywatelka Białorusi przyjeżdżała co jakiś czas do Polski, żeby pohandlować. W czasie jednej z takich wypraw poznała w Lublinie człowieka, który sprawił, że młoda kobieta weszła na drogę przestępstwa. Był nim 40-letni Borys G., Bułgar, mieszkaniec Ukrainy. Kusząc Tanię perspektywami łatwego wzbogacenia się, a także męskim wdziękiem zwerbował ją do bandyckiego duetu. Borys G. wraz ze wspólnikiem Aleksandrem F. planował napady rabunkowe na bogatych mężczyzn, mieszkańców Polski. Potrzebny był mu wabik w osobie młodej, atrakcyjnej kobiety. Uznał, że Tania nadaje się znakomicie do tej roli. Po omówieniu szczegółów przystąpili do działania.

SŁODKA TANIA w akcji

Na pierwszą ofiarę wytypowali Pawła Ż., handlarza walutą na jednym z lubelskich bazarów. Tania, elegancko ubrana, z wystrzałową blond fryzurą, spacerując po targowisku podeszła do niego i nawiązała rozmowę. Opowiedziała banalną historyjkę, że nie ma gdzie spędzić nocy, a on łatwo dał się złapać na ten lep. Zaproponował nocleg u siebie, na co ona, rzecz oczywista, zgodziła się bez większych oporów. Paweł Ż. był rozwodnikiem i dysponował 2-pokojowym lokalem na jednym z nowych osiedli Lublina. Poszli na przystanek i wsiedli do autobusu linii „29". W pobliżu domu pana Ż. wstąpili do sklepu, w którym mężczyzna nabył produkty żywnościowe i alkohol, w tym szampana. Cinkciarz nie zdawał sobie sprawy, że zarówno on, jak i jego towarzyszka są śledzeni przez dwóch osobników. W mieszkaniu zjedli po kurczaku i napili się szampana. W pewnej chwili kobieta poprosiła gospodarza o szklankę wody. Kiedy wyszedł do kuchni, wlała do jego musującego wina środek usypiający. Nieświadomy zawartości swojego kieliszka pan Paweł wypił resztę szampana. Potem trochę potańczyli, wreszcie cinkciarz legł na wersalce i zachrapał.

Tania wyszła na balkon i dała umówiony znak. Po chwili otwierała wspólnikom drzwi wejściowe. Borys G. i Aleksander F. spenetrowali mieszkanie. Zabrali kilkaset milionów starych złotych, trochę dolarów i biżuterii, po czym spokojnie wyszli z mieszkania. Paweł Ż. obudził się nad ranem. Czuł się fatalnie, sądził, że zatruł się kurczakiem. Zauważył naturalnie, iż mieszkanie „obrobiono", ale myślał, że Tania działała na własną rękę. Dopiero po kilku dniach zdecydował się zawiadomić Policję.

Bandyckie trio po kilku tygodniach postanowiło powtórzyć „numer", tym razem w Zamościu. Pewnego letniego wieczora do restauracji hotelu „Jubilat" przyszedł Ryszard S., 38-letni pracownik elektrowni, mieszkaniec pobliskiego Osiedla „Zamojski". Miał dwoje dzieci i żonę w czwartym miesiącu ciąży, ale zawiózł właśnie rodzinę na wieś do teściów. Wybrał się na kolację do „Jubilata", gdzie często wpadał w ciągu dnia na piwo i przekąskę. W sali restauracyjnej znajdowało się kilka osób. Przy jednym ze stolików siedziała młoda, elegancka brunetka, nieco dalej dwóch mężczyzn. Całości dopełniało, znanych panu S. z widzenia, trzech miejscowych biznesmenów. Pracownik elektrowni zamówił schabowego z frytkami i sałatkę. Gdy skończył, uiścił rachunek banknotem milionowym. Nie zauważył sygnału, jaki przekazał kobiecie jeden z dwóch mężczyzn. Brunetka wstała i zbliżywszy się z papierosem do słomianego wdowca poprosiła go o ogień. Mówiła z silnym akcentem rosyjskim. Podał usłużnie, pozwolił jej przysiąść się do stolika. Zamówił szampana. Tatiana (bo jak się nietrudno domyślić to była ona, mimo innego koloru włosów) powiedziała, że przyjechała do Polski, aby kupić komputer, a jej rozmówca podchwycił temat.

— Mam w domu komputer, mogę ci go tanio sprzedać — rzucił ofertę. — Jeśli chcesz go wypróbować, to możemy zaraz pójść do mnie. Mieszkam niedaleko.

Przed wyjściem z „Jubilata" pan Ryszard nabył kolejną butelkę szampana. Wkrótce po ich wyjściu restaurację opuściło dwóch wspólników Tani. Ryszard i Tatiana przeszli przez ulicę Wyszyńskiego i znaleźli się między blokami Osiedla „Zamojski". Weszli do jednego z czteropiętrowych budynków, pan S. mieszkał na pierwszym piętrze. Pili szampana, rozmawiali, zatańczyli. Kobieta powiedziała, że chce zapalić i zaproponowała wyjście na balkon.

— Możesz palić w pokoju, mnie to nie przeszkadza — powiedział gospodarz.

— Wolę na powietrzu, jest tak ciepło — odparła. Wyszli więc na balkon. W ten sposób pokazała się krążącym wokół balkonu Borysowi i Aleksandrowi. Gdy wrócili do wnętrza, poprosiła o wodę. Kiedy mężczyzna wyszedł, wlała mu do szampana krople usypiające. Zadziałały, pan Ryszard zasnął.

Tatiana ponownie wyszła na balkon. Wspólnicy nie skorzystali z drzwi wejściowych, lecz wdrapali się po balkonowych słupach i pnączach winorośli. Splądrowali mieszkanie. Znaleźli złoty łańcuszek, pierścionek i kolczyki oraz półtora miliona złotych. Komputera nie było. Zabrali także suszarkę do włosów, czapkę z lisa i futro karakułowe. Z łupem skierowali się do drzwi... I wtedy doszło do tragedii. Gospodarz obudził się nieoczekiwanie i wszedł do przedpokoju. Zdumiony spojrzał na nieznajomych mężczyzn.

— Co wy tu ... — zaczął. Nie dali mu skończyć. Został powalony i skopany. Aleksander F., dobrze zbudowany 25-latek zacisnął na gardle ofiary swoje wielkie dłonie.

— Tania, na balkon! — rozkazał Borys. Zaciągnęli ledwie żywego mężczyznę do łazienki i napuścili wodę do wanny. Wrzucili do niej Ryszarda S. i długo trzymali jego głowę pod powierzchnią. Gdy byli już pewni, że ich ofiara nie żyje, zawołali wspólniczkę i opuścili mieszkanie. Dochodziła północ, aby nie robić hałasu wyszli boso, trzymając obuwie w rękach. W kilka dni później żona odnalazła martwe ciało swego męża.

Tymczasem bandycka trójka pojechała porannym autobusem do Warszawy. W stolicy wsiedli w pociąg do Łodzi. Po dotarciu na miejsce zatrzymali się w tanim hotelu. W Łodzi sprzedali złoto, spędzili tam 3 dni. Chcieli znowu kogoś „namierzyć", ale tym razem nie wyszło. Pojechali wreszcie do Lublina, gdzie wynajęli pokój w hotelu robotniczym. Zameldowała się tylko Tania, oni nie pokazali swoich paszportów.

Minął miesiąc. Aleksander F. został zatrzymany przez Policję na próbie włamania i deportowany na Ukrainę. Niestety, funkcjonariusze nie wiedzieli, że mają w rękach zabójcę z Zamościa. Borys dokooptował do „zespołu" innego Ukraińca Olega W. Tym razem postanowili „zapolować" na bazarze w Hrubieszowie.

Tania, ufarbowana na rudo, poderwała na tamtejszym targowisku cinkciarza Dariusza M. Powiedziała, że jest zainteresowana zakupem większej ilości dolarów i jeśli pan Dariusz nie ma nic przeciwko temu to mogliby sfinalizować tę transakcję w miejscu, hm, bardziej zacisznym. Oczywiście handlarz walutami przystał na to z ochotą. Nie mógł zaprosić jej do siebie, bo mieszkał z żoną i z dziećmi, ale ustalili, że następnego dnia pojadą do Zamościa i wynajmą pokój w hotelu. I tak zrobili. Najpierw hyundai handlarza walutami skierował się w stronę „Jubilata", ale Tatiana, — mając w pamięci Ryszarda S. — zaoponowała.

— Tutaj pracuje moja matka, jest pokojówką. Jedźmy gdzie indziej — zażądała. Dariusz M. wybrał więc hotel „Renesans" znajdujący się na starówce. Początkowo chciał zaparkować samochód w pewnej odległości od hotelu, ale Tania skłoniła go do skorzystania z hotelowego parkingu. Charakterystyczna marka auta cinkciarza miała być znakiem rozpoznawczym dla wspólników młodej Białorusinki. Handlarz walutami wynajął pokój, napili się szampana, po czym poszli do łóżka. W przerwachTatiana dwukrotnie wychodziła na korytarz do toalety, wypatrując wspólników. Wreszcie nadeszli. Do pokoju wpadło trzech zbirów (w ostatniej chwili Borys zwerbował do pomocy jeszcze jednego zucha) i zaatakowało cinkciarza. Ten, chociaż wypił swoją porcję wina z kroplami nasennymi, nie tylko nie zasnął, ale nawet nie stracił wigoru. Stawiał zacięty opór. Walka wywołała ogromny hałas. Napastnicy, aby odebrać mu saszetkę, w której miał dolary, rąbnęli go nawet w głowę stojącym na toaletce radiem marki Taraban. Kiedy wybiegli wraz z Tanią unosząc łup, ściany pokoju zachlapane były krwią. Dariusz M. dzielnie ścigał ich, ale na schodach stracił siły i zemdlał. Recepcjonistka wezwała Policję. Poszkodowany znalazł się w szpitalu, gdzie po opatrzeniu ran pozwolono mu odejść.

Bandyci pojechali autobusem do Krasnegostawu, gdzie mieli kwaterę. Po przebraniu się (ich ubrania zaplamione były krwią) pojechali do Lublina. Saszetka zawierała trzy i pół tysiąca dolarów, podzielili pieniądze. Tania dostała 100 dolarów. Zawsze otrzymywała najmniej, ale nigdy się nie skarżyła.

Dariusz M. nie ufając organom ścigania postanowił schwytać napastników na własną rękę. Informację o Tani rozesłał pocztą pantoflową wśród cinkciarzy z sąsiednich województw. W trzy tygodnie po napadzie w „Renesansie" Tatiana pojawiła się na bazarze w Chełmie, gdzie próbowała złapać w sidła pokusy właśnie jednego z handlarzy walutami. Ten rozpoznał ją z opisu i umówiwszy się na następny dzień powiadomił Dariusza M. Cinkciarz z Hrubieszowa przyjechał w asyście kilku osiłków. Pochwycił Tanię w pobliżu bazarowej bramy. Obserwujący ją Borys i Oleg zdołali umknąć. Wepchnąwszy kobietę do samochodu Dariusz M. zawiózł ją do chełmskiej KRP.

Podczas przesłuchania Tatiana przyznała się do wszystkiego i szczegółowo opowiedziała o swojej współpracy z Borysem G. i jego ludźmi. Zachętą była dla niej obietnica łagodniejszego wyroku. W tym przypadku spotkało ją jednak gorzkie rozczarowanie. W czasie rozprawy prokurator zażądał ośmiu lat pozbawienia wolności, werdykt sądowy brzmiał natomiast: dziesięć lat.

Za Borysem G. i Olegiem W. rozesłano listy gończe. Natomiast Tania... no cóż, odsiaduje swój wyrok i podobno chwali sobie pobyt w polskim więzieniu.

PIOTR KITRASIEWICZ

KOMPUTERY Z REKLAMÓWKI

Krzysztof P., student Politechniki Śląskiej w Gliwicach, prowadzący prężną firmę komputerową „Logic", opuścił przyjęcie urodzinowe u babci, udając się w interesach do Zabrza. Dwie godziny później w dzielnicy Ligota odnaleziono jego samochód i zwłoki. Krzysztof P. zginął zamordowany przez Adama Ł., ochroniarza spółki „Bajtex", z którą łączyły go interesy.

Wkrótce okazało się, że w historii zabójstwa Krzysztofa P. wątek kryminalny intrygująco splata się z wątkiem gospodarczym. Policja wpadła na trop zabójcy po kilku dniach, ustalając, że krytycznego wieczoru odwiedził on prezesa „Bajtexu" Elżbietę J., odbierając od niej 23 690 dolarów tytułem rozliczeń finansowych. Przez pewien czas w gronie osób podejrzewanych o zgładzenie i obrabowanie Krzysztofa znajdowali się więc Elżbieta J. oraz właściciel firm „Bajtex", „Intergrator SA" i „Tytan z o.o." — Andrzej M. Przesłuchano ich w charakterze świadków, z pouczeniem o treści art. 166 k.p.k, zezwalającego na unikanie odpowiedzi na pytania, które mogłyby skutkować odpowiedzialnością karną.

Policjanci prowadzący śledztwo kryminalne usiłowali, by zbudować wiarygodne hipotezy, zgłębić istotę interesów łączących Krzysztofa P. z wymienionymi wyżej przedsiębiorstwami. Wychodziło, że nie były to interesy kryształowo czyste. Prawdopodobnie P. dostarczał „Bajtexowi" twarde dyski. „Księgowość" „Logica" mieściła się w czterech szarych kopertach. W tej sytuacji powiadomiono Wydział do Walki z Przestępczością Zorganizowaną KWP w Katowicach. 24 lutego do Gliwic udało się trzech funkcjonariuszy wydziału. W okolicach zamieszkania szefów „Bajtexu" zastawiono zasadzki. Wyczekiwanie na chłodzie, od godziny 16.00 do 21.00, opłaciło się. Pod jeden z adresów podjechały dwa auta: „Fiat Croma" i „Ford Sierra". Zatrzymano trzech mężczyzn. Wracali z Niemiec i Austrii. W zwyczajnej, plastikowej rekalmówce przewozili dziesiątki elementów komputerowych: pamięci operacyjnych SIMM oraz procesorów. Nie posiadali faktur ani dokumentów odpraw celnych. Wartość zarekwirowanych podzespołów oszacowano na 3 miliardy złotych.

Dalsze czynności śledcze wykazały, że przemyt komputerowych części odbywał się na ogromną skalę. Trzech kurierów dwa, trzy razy w tygodniu wyruszało na trasy do Passau w Niemczech i do Wiednia, gdzie za wywiezioną bez zgody banku walutę obcą, dokonywano zakupu specjalistycznych elementów. Granicę przekraczali najczęściej w nocy, kiedy czujność strażników i celników malała. Reklamówki z komputerową kontrabandą leżały prowokacyjnie na widoku, gdzieś na tylnym siedzeniu. Na pytania: — Co panowie wiozą?, padała odpowiedź: — Nic! Po tym następował charakterystyczny ruch ręki urzędnika i szlaban podnosił się w górę.

Towar dostarczano do magazynów „Bajtexu" za pokwitowaniem. Następnego dnia podlegał procedurze legalizacji. Do magazynu spływały faktury VAT, z których wynikało, że części zostały kupione w firmie „Rotor" z Łodzi, mieszczącej się przy ulicy Rudzkiej 101—102/2A. Sęk w tym, iż taka firma istniała jedynie na papierze w Wydziale Działalności Gospodarczej urzędu łódzkiej dzielnicy Górna. Natomiast adres był zupełnie fikcyjny.

— Do rejestacji firmy, nomen omen od przekrętów: „Rotor", szefowie „Bajtexu" posłużyli się fałszywym dowodem osobistym — mówi komisarz prowadzący sprawę. — Blankiet dowodu skradziono z Urzędu Dzielnicowego Warszawa-Mokotów. Stamtąd też pochodził formularz prawa jazdy i stosowne pieczątki. Wypełnione dokumenty opiewały na nazwisko Piotr Steblewski. Zdjęć użyczył wtajemniczony pracownik „Bajtexu".

Lewą dokumentację obrotów fabrykowano na miejscu, w Zabrzu. Faktury zaświadczające, że towar pochodzi z „Rotoru", trafiały do księgowości, a dalej do magazynu. Trefny towar stawał się w ten sposób czysty i podlegał dystrybucji. Zyski osiągano kolosalne. Jeden megabajtowy SIMM sprzedawano w detalu za około miliona złotych, procesor, w zależności od klasy, za 4—6 milionów.

— Gdyby nie zabójstwo Krzysztofa P. — utrzymuje komisarz — nigdy nie trafilibyśmy na ślad istnienia „Rotoru". „Bajtex" współpracował bowiem z dziesiątkami różnych firm w całym kraju. Sprawdzenie wszystkich było przedsięwzięciem wręcz niemożliwym.

Ciekawie wygląda również metoda stosowana przez Andrzeja M. do rozliczeń dewizowych z kontrahentami. Otóż zawierał on fikcyjne umowy pożyczek. „Pożyczki" owe, w istocie przykrywka zapłat za dostarczony towar, nie były zgłaszane w urzędach skarbowych i opodatkowane, jak karze prawo. Wyszło przy okazji na jaw, że Andrzej M. zastraszał klientów i wspólników, między innymi posunął się do groźby karalnej wobec prezeski J. Pewnego razu komando, w skład którego wchodził zabójca Krzysztofa P. Adam Ł., wybiło, dla zastraszenia, szyby w domu biznesmena G., naciskającego na M. o zwrot pieniędzy za bezmyślnie, ze stratą, sprowadzone notebooki.

W toku postępowania przygotowawczego ustalono, na podstawie ocalałej, szczątkowej dokumentacji, zapisów na dysku komputerowym i faktur, że globalna kwota przemytu zorganizowanego przez „Bajtex" osiągnęła wartość 67,5 miliarda starych złotych. Urząd Kontroli Skarbowej ocenił, że uszczuplenia należności państwa z tytułu nie zapłaconych podatków, wyniosły, wraz z naliczonymi karami 72,2 mld starych złotych. Z kolei Wydział Operacyjny Urzędu Celnego w Katowicach zajął na poczet egzekucji opłat celnych towar z magazynów „Bajtexu" wart 5,2 mld starych złotych, a komornik, na poczet spodziewanych kar, budynek firmy i 4 samochody. Prokurator tymczasowo aresztował Andrzeja M. oraz trzech kurierów. Wobec Elżbiety J. przyjął poręczenie majątkowe, ponieważ sprawuje ona opiekę nad dzieckiem. Kolejnej, szóstej osobie, dostarczycielowi blankietów urzędowych dokumentów, przedstawiono zarzut pomocnictwa do fałszerstwa.

Firma „Bajtex" istnieje nadal, choć już pod innym kierownictwem. Prezesem zarządu został Jacek J., pracownik nie mniej znanego „Video-comu" działającego w Rudzie Śląskiej i Gliwicach. Wobec firmy tej prowadzone jest odrębne postępowanie dotyczące nadużyć podatkowych w wysokości — bagatela — 200 miliardów starych złotych.

Zarówno podejrzani, jak i świadkowie w opisywanej sprawie wskazują, że bez mała cały komputerowy interes w Polsce, opiera się na globalnym przemycie części z zagranicy. Inaczej nie byłby konkurencyjny i dochodowy. Padają nazwy firm wykupujących codziennie całe strony reklamowe w najpoczytniejszych gazetach oraz nazwiska ludzi obwoływanych gospodarczymi objawieniami roku. Rozpracowania operacyjne i nowe postępowania przygotowawcze obejmują coraz to inne obszary. Prokuratura zastanawia się, czy nie znajdzie zastosowania przepis art. 5 ustawy o ochronie obrotu gospodarczego, mówiący o praniu brudnych pieniędzy. W kręgu zainteresowania organów ścigania znajdują się również kantory, sprzedające przemytnikom wielkie ilości walut, bez odzwierciedlania tych faktów w sprawozdaniach finansowych. Mniemam, że do tematu przyjdzie jeszcze nieraz powrócić.

ADAM K. PODGÓRSKI

UMOWA I KŁOPOTY

W październiku w stolicy Czech zawarta została umowa o regionalnej współpracy w przeciwdziałaniu narkomanii i zwalczaniu nielegalnego obrotu środkami odurzającymi. Sygnowało ją pięć państw (Węgry, Słowenia, Słowacja, Czechy i Polska) oraz kierownictwo UNDCP, czyli oenzetowskiego programu kontroli narkotyków.

— Umowa przewiduje współdziałanie w wielu dziedzinach, począwszy od ścigania przestępców, przez wymianę doświadczeń w leczeniu uzależnionych, aż po edukację wśród młodzieży — mówi Stanisław Flasiński, sekretarz Międzyresortowego Zespołu ds. Koordynacji Kontroli Środków Odurzających i Psychotropowych. — Zasadniczym celem jest jednak zablokowanie szlaku kurierów, jaki wiedzie przez te kraje.

Wojna w byłej Jugosławii zmusiła handlarzy narkotykami do rezygnacji z tradycyjnego, tzw. bałkańskiego szlaku, którym dostarczano towar ze Wschodu do Europy Zachodniej. Zmiana tras nie sprawiła im jednak większego kłopotu — sprzyjało jej otwarcie granic państw dawnego Układu Warszawskiego. W efekcie na liście państw tranzytowych znalazły się właśnie: Polska, Czechy... Nasz kraj znalazł się w szczególnie groźnym położeniu, nad Wisłą bowiem krzyżuje się kilka szlaków. Polska policja odnotowuje stały wzrost wszelkiego rodzaju przestępstw wiążących się z narkotykami, zwłaszcza prób przemytu przez granice. W pierwszej połowie 1995 roku udaremniono czterokrotnie więcej takich prób niż w tym samym okresie ubiegłego roku. Wciąż jednak jest to znikoma część tego, co przechodzi przez nasz kraj.

— Mam nadzieję, że umowa pozwoli policjantom zainteresowanych państw na lepsze współdziałanie, choćby wymianę informacji — mówi Stanisław Flasiński. — Nie ukrywam, że jest ona niezwykle ważna jeszcze z innego powodu. Chodzi po prostu o pieniądze, gdyż UNDCP wyasygnuje 3 mln dolarów na realizację postanowień tej umowy.

Nie wiadomo jeszcze, jaka część tej kwoty przypadnie Polsce, każda suma będzie jednak bardzo przydatna. Główną bolączką Międzynarodowego Zespołu ds. Koordynacji Kontroli Środków Odurzających i Psychotropowych jest bowiem właśnie brak funduszy. Z tego powodu nie są realizowane dotychczasowe zamierzenia, m.in. zaplanowany na 1995 r. ogólnopolski sondaż w szkołach, który pozwoliłby na dokładne oszacowanie rozmiarów zjawiska narkomanii wśród dzieci i młodzieży. Możliwe, że pieniądze z UNDCP poszłyby właśnie na ten cel.

Przek.

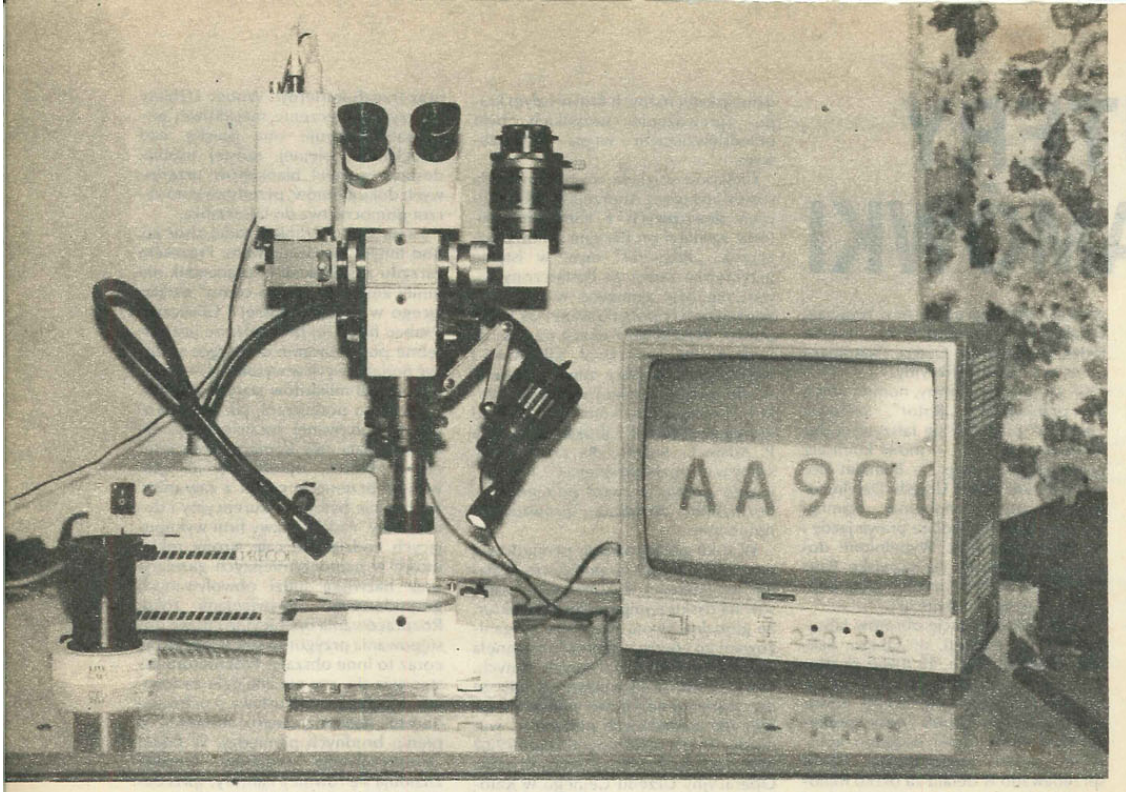

Nowości w CLK

ZOBACZYĆ NIEWIDZIALNE

Kiedy w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym Komendy Głównej Policji powstał pomysł na nowe urządzenie spełniające wszelkie wymogi Wydziału Badań Dokumentów, okazało się, że jest jeszcze jeden problem. Urządzenia takiego nikt dotąd nie produkował.

Po różnych perturbacjach, a działo się to już w dobie obowiązywania ustawy o zamówieniach publicznych, po zbadaniu możliwości wielu firm, wybór padł na Polskie Zakłady Optyczne. Tam właśnie powstał mikroinfraskop o wdzięcznej nazwie „OMEGA MST-D". Głównie na potrzeby laboratoriów Policji w całym kraju.

Jak już powiedzieliśmy, dotąd nikt nie produkował urządzenia, które dawałoby możliwość badań dokumentów najnowocześniejszą techniką w podczerwieni, by miało tor mikroskopowy wolny od wad optycznych, no i żeby mogło pracować jednocześnie jak zwykły mikroskop (Policja jest zbyt biedna, by mogła fundować pracownikom kryminalistycznym osobno mikroinfraskop i mikroskop klasyczny).

— PZO zaoferowały nam urządzenie, które najbardziej zaspokoiło nasze potrzeby — mówi komisarz Roman Łuczak, ekspert kryminalistycznych badań dokumentów w Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym KGP. — Ponadto pracownicy tych zakładów mieli ogromną cierpliwość dla naszych, trzeba to przyznać, dość dużych wymagań. Wspólnie opracowywaliśmy szczegóły, ciągle coś jeszcze poprawialiśmy, aż w końcu na wiosnę tego roku do laboratoriów policyjnych trafiło pierwszych 8 mikroinfraskopów, mających nowe, zgodne ze światowymi standardami, rozwiązania. W produkcji są już następne. Dotrą do kolejnych laboratoriów kryminalistycznych w najbliższym czasie.

O tych, które już pracują, opinie są jak najlepsze. Sprawdziły się nie tylko w pracowniach badań dokumentów, ale i w daktyloskopii, a także podczas analiz przestrzelin w Wydziale Badań Broni CLK KGP.

Obraz dokumentów oglądanych przy użyciu mikroinfraskopu wyświetlany jest na monitorze. Umożliwia to oglądanie ich kilku ekspertom naraz, konsultacje na gorąco, zwracanie uwagi na dany fragment, który można pokazać wszystkim jednocześnie itp. Obraz ten można wprowadzić także do komputera i poddać go stosownej obróbce (wzmocnić kontrast, usunąć zabrudzenia itp.), albo za pomocą wideoprintera otrzymać jego wydruk. Jednym słowem, można uzyskać wszystko to, co potrzebne jest ekspertom podczas rutynowych badań.

Ale czym, tak naprawdę różni się mikroinfraskop od zwykłego mikroskopu?

Mikroinfraskop oprócz pracy w świetle widzialnym (jak w wypadku klasycznego mikroskopu), pracuje także w podczerwieni i ultrafiolecie. Badania w podczerwieni pozwalają na ujawnienie wszelkich fałszerstw lub przeróbek oraz odczyt oryginalnego dokumentu, który został celowo zamazany, pokreślony itd.

Widziałem to na własne oczy. Na kartce papieru były zadrukowane kolumny liczb. Niektóre z nich zostały bardzo starannie zamazane długopisem. Nikt nie byłby w stanie ich odczytać ani gołym okiem, ani przy użyciu choćby najwyższej klasy mikroskopu. Tymczasem pod mikroinfraskopem, w podczerwieni ukazały się zupełnie wyraźnie tak starannie uprzednio zamazane cyfry. Widać je było tak dokładnie, jakby nikt nigdy ich nie zamazywał!

Jest to możliwe dzięki selektywnej filtracji. Tzw. wmontowana w mikroinfraskop listewka z filtrami umożliwia absorbcję w podczerwieni. Pozwala to różnicować środki kryjące, choć na pierwszy rzut oka są one identyczne, lub usuwać te środki, które obraz zamazują. Czyli mówiąc po ludzku: są takie pokrętełka, dzięki którym można usuwać z oglądanego obrazu to, co niepotrzebne, co zostało np. naniesione na dany oglądany dokument później, np. przez podrabiającego go fałszerza lub też odczytywać tylko to, co zostało nań w ten właśnie sposób naniesione.

Mikroinfraskop pozwala także na odczytanie dokumentów spalonych, zbutwiałych ze starości, zniszczonych umyślnie i takich, które kilkanaście czy nawet kilkadziesiąt lat przeleżały zakopane w ziemi, były poddane działaniu mrozów, deszczów i promieni słonecznych. Kiedy w świetle dziennym nic już nie można zobaczyć, w podczerwieni nagle pojawiają się z niewiarygodną wręcz precyzją te elementy, których istnienia nawet nie podejrzewano.

Badając natomiast sfałszowane dokumenty albo pieniądze, można bez trudu określić technikę druku lub rodzaj zastosowanej kserokopiarki. Można także zarejestrować i to, czym dany sfałszowany dokument czy banknot różni się od oryginału. W mikroinfraskopie widać po prostu wszystko. Także to, co dotąd było niewidzialne.

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI
zdj. Ryszard Sobolewski

„KIJARZE"

Niebezpieczną, ośmioosobową grupę przestępczą ustalili i zatrzymali we wrześniu siedleccy policjanci. U zatrzymanych znaleziono 2 pistolety na amunicję ostrą (WALTER i VIS), odzyskano dwa skradzione samochody oraz przedmioty o wartości kilkudziesięciu tysięcy złotych pochodzące z działalności przestępczej.

Tymczasowo aresztowanym zarzuca się dokonanie trzech najbardziej bulwersujących opinię publiczną przestępstw w województwie.

Pod koniec lipca w nocy, cała grupa, po wcześniejszym odcięciu linii telefonicznej napadła na mieszkającego samotnie przy ulicy Malinowej siedlczanina. Po skrępowaniu ciała sznurem i brutalnym pobiciu drewnianymi kijami, wymusili wydanie ponad 7 tysięcy złotych. Dwa tygodnie później, 11 sierpnia po godzinie ósmej na ul. Garwolińskiej w Siedlcach postrzelili z broni palnej w brzuch listonosza. Tylko natychmiastowa pomoc lekarzy i ich wielodobowy trud uratował 23-letniemu mężczyźnie życie. Sami sprawcy, widząc nagle pojawiających się świadków, nie zabrali torby listonosza i uciekli motocyklem.

Najbardziej dramatyczny w skutkach okazał się napad na hurtownika w Pruszynie Pieńkach koło Siedlec. W okolice domu napastnicy przyjechali dwoma samochodami, które pozostawili w lesie. Tam też wycięli solidne, brzozowe kije. Następnie odcięli linię telefoniczną, unieszkodliwili psy i przez okno na 1 piętrze weszli do domu. 38-letni mężczyzna został zaatakowany w czasie oglądania telewizji. Próbował się bronić, lecz kilkakrotnie ogłuszany siekierą, bity kijami i kopany uległ w końcu bandytom. Z domu wyniesiono trochę biżuterii i 45 tysięcy złotych. Zmaltretowane zwłoki hurtownika ujawnił na drugi dzień pracownik firmy. Tylko po uderzeniach kijami naliczono około 200 śladów...

Wszechstronnie zbierany przez policję ze specjalnej grupy operacyjno-śledczej materiał dowodowy pozwolił na pierwsze zatrzymania miesiąc po napadzie. Później zatrzymano sprawców napadu przy ul. Malinowej i masakry w Pruszynie Pieńkach.

— Rozbiliśmy najbrutalniej działającą w województwie grupę przestępczą. Poza dwoma nieletnimi, których umieszczono w zakładach poprawczych, wszyscy dorośli mieli już konflikty z prawem. Jeden z nich karany był za pobicie ze skutkiem śmiertelnym, drugi za zabicie w 1993 roku swojego brata. Jednak już po roku i ośmiu miesiącach wyszedł na wolność — powiedział podinsp. Wiesław GAŃKO, komendant wojewódzki Policji w Siedlcach. — Dzisiaj nie wiemy, co by się stało w domu hurtownika, gdyby w czasie napadu była tam jeszcze żona z trójką dzieci... Tę grupę stać było na wszystko.

Z. Mat.

Radio dla Ciebie
RDC
MAGAZYN MOTORYZACYJNY
WARSZAWA
tel. 44 95 35
FM ○ 67,94 ○ 68,03 ○ 72,53 ○ 92

KALIBER

PRZEDSIĘBIORSTWO TECHNICZNO - HANDLOWE

02-009 Warszawa
Al. Niepodległości 243
tel./fax (0-2) 625-44-77

OFERUJE:

BEAMHIT SYSTEMS

System treningu strzeleckiego, opartego na trenażerach laserowych

Zapewnia:
- wykorzystanie WŁASNEJ broni przez cały czas treningu
- trenowanie w KAŻDYM POMIESZCZENIU
- OGROMNE oszczędności AMUNICJI
- BŁYSKAWICZNE poprawienie wyników

UWAGA! Trenażery laserowe BEAMHIT zostały zakupione przez POLICJĘ!

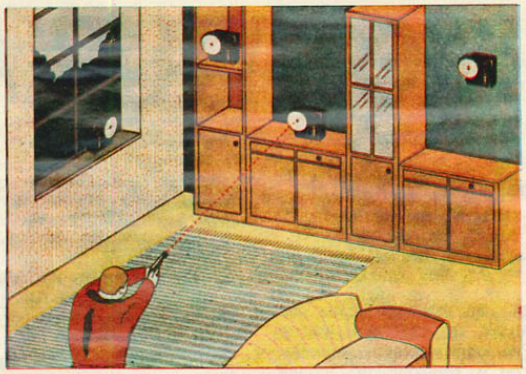

ROSSI
INTERNATIONAL QUALITY IN FIREARMS

- rewolwery wykonane CAŁKOWICIE ZE STALI
- kaliber 38 Spl, 357 Mag, 22LR
- broń do samoobrony, na służbę i na strzelnicę

Smith&Wesson®
QUALITY FIREARMS SINCE 1852

- pistolety i rewolwery legendarnej firmy amerykańskiej
- kaliber 38 Spl, 357 Mag, 9 mm Parabellum, 22 LR
- najnowszy model „SIGMA" - pistolet kal. 9 mm Parabellum, 17 nb. w magazynku, szkielet z tworzywa sztucznego

MANURHIN EQUIPEMENT
MULHOUSE FRANCE

- 5-strzałowe strzelby obezwładniające MR 35 Punch, strzelające kulami gumowymi kal. 35 mm
- zmniejszone, 1-strzałowe wersje

● **KAMIZELKI KULOODPORNE firmy „DANIEL TECHNOLOGIE"**
- wszystkie klasy kuloodporności kamizelki dla VIP
- opancerzenie pojazdów
- wszystkie rozmiary
- hełmy kuloodporne

● **Amunicja kal. 9 mm Makarow antyterrorystyczna**

römer

- kaski, tarcze oraz inne wyposażenie ochronne

● **WSZELKIE INNE AKCESORIA DLA FORMACJI OCHRONY**

● **SPRZEDAŻ NA RATY**

WARTO PRZECZYTAĆ

PRAWO O RUCHU DROGOWYM
TEKSTY I OBJAŚNIENIA

Nakładem Wydawnictw Komunikacji i Łączności ukazało się opracowane przez Zbigniewa Drexlera „Prawo o ruchu drogowym. Teksty i objaśnienia".

Ze względu na to, iż największe zainteresowanie budzą stosowane na co dzień przepisy regulujące kwestie poruszania się po drogach, opracowanie to zostało ograniczone do problemów ruchu, bezpieczeństwa i porządku drogowego oraz znaków i sygnałów drogowych. Oprócz wyjaśnień zawiłości formalnych i merytorycznych książka jest swojego rodzaju przewodnikiem po przepisach ruchu drogowego — stan prawny z października 1995 r. Zawarte w niej objaśnienia ułatwiają zorientowanie się w obecnym stanie prawnym, powiązaniu przepisów o ruchu drogowym z innymi przepisami wewnątrz kodeksu drogowego oraz poza nim, a także przedstawiają w sposób praktyczny istotę omawianych przepisów, pomagają w ich zrozumieniu i stosowaniu. Objaśnienia nie podają wiadomości encyklopedycznych związanych z omawianym przepisem, lecz wskazują, jak poszczególne unormowania prawne stosować w praktyce ruchu drogowego.

Pozycja ta stanowi pomocniczą lekturę dla ludzi zawodowo związanych z ruchem drogowym, a także dla wykładowców przedmiotu wychowanie komunikacyjne.

AGW
repr. K. Potock

Zbigniew Drexler: *Prawo o ruch drogowym. Teksty i objaśnieni* Wydawnictwa Komunikacji i Łączności, Warszawa 1995 r.

NIEZAWODNOŚĆ I DOSKONAŁOŚĆ TELEWIZORÓW

CURTIS®

NAJNOWSZA TECHNOLOGIA FIRMY MOTOROLA
TO AŻ 4 LATA GWARANCJI

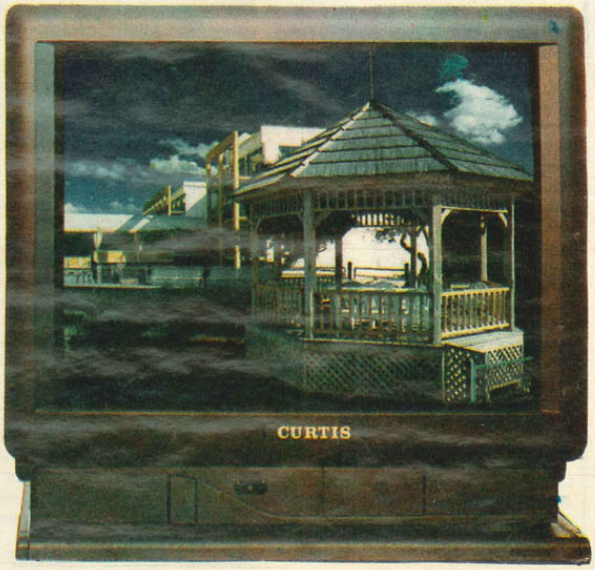

Salony Firmowe „CURTIS": Pasaż Ursynowski 9, ul. Surowieckiego (Ursynów obok Megasamu)

W służbie Jej Seksualnej Mości (7)

MINISTER I PROSTYTUTKA

(największy skandal gabinetowy w Wlk. Brytanii)

Rywalizacja między dwiema służbami specjalnymi, przeradzająca się częstokroć w niezdrową konkurencję, znajdowała swój finał w likwidacji jednej z nich (jak było w przypadku Abwehry, zdziesiątkowanej i wchłoniętej potem przez Służbę Bezpieczeństwa SS) lub kończyła się wielkim skandalem i niechlubnym odejściem jej szefa. Tak było w przypadku wyścigu o sukcesy między brytyjskim kontrwywiadem — MI 5 a wywiadem — MI 6. Doprowadziło to do największego skandalu, jaki kiedykolwiek wstrząsnął strukturami rządowymi w Wlk. Brytanii. Nazwany „aferą Profumo" — od nazwiska głównego „bohatera" — ogniskował się wokół radzieckiego szpiega i pięknej prostytutki. Ale zacznijmy od początku.

W styczniu 1961 r. szef MI 5 sir Roger Henry Hollis zwołał naradę wyższych oficerów tej służby. Obok wielu walorów niezbędnych w tej pracy, sir Henry miał jedną wadę — był zbyt ambitny i zazdrosny o sukcesy. A powody spotkania były ważne z jego punktu widzenia:

1) służba atakowana była przez prasę, że pozwoliła przez sześć lat działać radzieckiej siatce szpiegowskiej penetrującej kompleks zbrojeniowy,

2) konkurencyjna służba MI 6 — w przeciwieństwie do CIA — przyjęła ofertę dezercji radzieckiego szpiega Olega Pieńkowskiego i realizowała obecnie sprawy na bazie uzyskanych od niego informacji.

I tu ujawniła się zła cecha Hollisa. Poirytowany osiągnięciami MI 6 polecił swym podwładnym znalezienie, przynajmniej równego rangą, sowieckiego szpiega działającego w Wlk. Brytanii, którego można by było przewerbować.

W rezultacie podjętych działań, wytypowano do tego celu Jewgienija Iwanowa, oficjalnie attaché morskiego w radzieckiej ambasadzie, a faktycznie generała GRU (wywiad wojskowy). Grubawy, o niezbyt rozgarniętym wyrazie twarzy, zwany w kręgach dyplomatycznych „Lisim pyskiem", Iwanow był w rzeczywistości doświadczonym i błyskotliwym wywiadowcą. Kierował m.in. akcją rozpoznania sektora zbrojeniowego wokół Portland. Zawsze elegancko ubrany, lubił spędzać wieczory w nocnych klubach. Z oceny MI 5 i dokonanego — jak się okazało potem błędnego — rozpoznania wynikało, że doceniał on walory systemu kapitalistycznego i gotów byłby zdradzić swą służbę za odpowiednią cenę.

Podjęto decyzję, aby zaaranżować wprowadzenie Iwanowa do elitarnego koła erotycznego brytyjskiej śmietanki towarzyskiej, jako przygotowanie do jego przewerbowania. Na pośrednika, mającego wprowadzić go w te kręgi wybrano, modnego wówczas w Londynie, dr. Stefana Warda, osteopatę (specjalista chorób kości), artystę-amatora i dyskretnego dostarczyciela prostytutek dla brytyjskich sfer rządowych.

Ward, syn urzędnika, ukończył przed II wojną światową akademię medyczną. W 1939 r. wstąpił do Królewskiego Wojskowego Korpusu Medycznego, gdzie dosłużył się stopnia kapitana. Po wojnie służył w Indiach. Obok nienagannych manier, posiadał prawie hipnotyczny dar oddziaływania na kobiety, mimo że daleko mu było do męskiej urody, nawet w potocznym rozumieniu. Te walory miały być przyczyną jego powodzenia, a potem i jego klęski. W 1947 r. wrócił do Londynu i rozpoczął prywatną praktykę. Wkrótce wśród jego klientów byli ambasador amerykański sir Winston Churchill, multimilioner Paul Getty czy aktorka Elizabeth Taylor. Ward kultywował swe znajomości i kontakty zarówno w najwyższych sferach, jak i najniższych. Znał książąt, przywódców politycznych, ale był też za pan brat z gangsterami, handlarzami narkotykami i prostytutkami. Stał się znany jako koneser najbardziej pociągających kobiet. Wkrótce określenie „dziewczęta Warda" stało się synonimem najpiękniejszych prostytutek w Londynie. W jego „stajni" były Mandy Rice-Davies, Annie Bowles, Margos Hopps i niejaka Christine Keeler. Jego działalność była dobrze znana MI 5 z uwagi na powiązania z wybitnymi politykami. Gdy ci potrzebowali, aby dostarczył odpowiednie „kobiety do towarzystwa" dla wizytujących Wlk. Brytanię głów różnych państw, czynili to za pośrednictwem przyjaciela i protektora Warda — lorda Astora, członka potężnego klanu rodzinnego, określanego jako zakulisowa, najbardziej wpływowa, rodzina w kraju.

Jako człowiek o szerokich znajomościach, lord Astor był także w przyjaznych stosunkach z wyższymi oficerami MI 5. Gdy zwrócili się do niego o pomoc, był zadowolony, że może nie tylko im, a w swym pojęciu także i krajowi być użyteczny. Jego zadanie było proste. Miał tylko zaaranżować towarzyskie spotkanie Warda i Iwanowa. Zarówno on, jak i Ward, nie byli świadomi celu, jaki stał przed ludźmi z MI 5. Zdarzenia miały się toczyć naturalnym biegiem rzeczy. Jak przewidziano, w czasie zapoznawczego lunchu, Iwanow i Ward przypadli sobie do gustu, a po kilku tygodniach byli już serdecznymi przyjaciółmi. Ward, wprawdzie amator, ale utalentowany artysta, często szkicował portrety członków rodziny królewskiej. Zaproponował sportretowanie Iwanowowi. W zamian Ward miał zaprosić go do wiejskiej posiadłości Astora — Clivenden, jaką wypożyczał od niego za symboliczną opłatą, i zapoznać go z atrakcyjną dziewczyną.

W niedzielę 9 lipca 1961 r. na przyjęciu zorganizowanym przez Warda w tej posiadłości, wśród zaproszonych gości byli Iwanow i Christine Keeler. Z powodu upału postanowiono popływać w znajdującym się na terenie posiadłości basenie.

Również lord Astor zaprosił na weekend swoich gości — majętność była olbrzymia — wśród których był minister obrony John Profumo z żoną.

Po obiedzie jego lordowska mość zaproponował przechadzkę po terenie i towarzystwo pospacerowało w kierunku ogrodzonego basenu. Zaciekawiony dobiegającymi rozmowami i śmiechami, lord Astor pchnął uchylone drzwi i wprowadził swych gości w momencie, gdy naga Christine wychodziła właśnie z basenu. Profumo, wyprzedziwszy nieco innych, mógł dokładnie obejrzeć każdy detal jej wspaniałego ciała. A było na co popatrzeć. Tak więc w „pułapkę" jaką miała być Keeler nie wpadł „zaplanowany" Iwanow, ale „przypadkowy" minister obrony.

I tak zaczął się związek prostytutki z ministrem, który miał mieć katastrofalne skutki zarówno dla kariery Profumo, jak i operacji zaaranżowanej przez sir Henry'ego.

Fakt, że J. Profumo i Ch. Keeler nawiązali romans, stał się szybko znany w MI 5. Rozważano nawet użycie ministra, jako nieświadomego pomocnika, przy zwerbowaniu Iwanowa. Ale w końcu zrezygnowano, z uwagi na zbyt duże polityczne niebezpieczeństwo. Zamiast tego do Profumo wysłano wyższego oficera MI 5, który miał delikatnie wyperswadować mu kontakty z Christine. Jednak jego aluzje zostały zupełnie nie zrozumiane przez ministra. Ów urzędnik starał się przekazać mu, bez wprowadzania w sedno sprawy, że przypadkowo wmieszał się w tajną operację. Jest prawdopodobne, że Profumo sądził, iż przestrzega się go przed możliwym skandalem obyczajowym, jeśli nadal będzie widywał Christine. O ile nawet tak właśnie myślał, nie zmieniło to w niczym jego stosunków z młodą i ponętną kobietą, ponieważ był on wówczas zbyt w niej zakochany, aby zważać na jakiekolwiek zagrożenie dla swej kariery. Hollis, bezsilny wobec Profumo, skoncentrował swe działania na Iwanowie, aby nakłonić go do zdrady.

Każda przyjemność, jaką śmietanka towarzyska Londynu mogła zaoferować, była do dyspozycji oficera GRU. Na pozór Iwanow wydawał się być w to wciągnięty. Jednakże, jako wytrawny szpieg, świadom zagrożeń i możliwych prób przewerbowania, w swych raportach informował Moskwę o każdym spotkaniu, począwszy od pierwszego lunchu z Wardem. Początkowo GRU poleciło Iwanowowi prowadzić grę z MI 5, dając mu możliwość penetracji wielu sfer działania władzy w Wlk. Brytanii. Ale po pewnym czasie od pierwszego spotkania z Wardem i jeszcze przed pojawieniem się Profumo, Iwanow znalazł inny doskonały powód do bliskiej znajomości z osteopatą. W londyńskim mieszkaniu Warda Rosjanin odkrył dwustronne lustro założone jeszcze przez poprzedniego właściciela tego lokalu. Ward używał go do podglądania swoich przyjaciół uprawiających miłość, robiąc im przy okazji udane zdjęcia. Iwanow był świadom, że to doskonały materiał do ewentualnego szantażu. W tajemnicy skopiował większość „wartościowych" (czytaj: użytecznych) zdjęć i przesłał do Moskwy. Do dziś przechowywane są w archiwum GRU, czekając na stosowną okazję. Być może już się zdezaktualizowały.

Gdy Profumo poznał Christine Keeler, ich związek przedstawiał dla Rosjan o wiele większą wartość i Iwanow otrzymał rozkaz podjęcia niezbędnych kroków w kierunku pozyskania ministra obrony. Taka gratka trafia się nieczęsto. Poświęcenie Iwanowa dla sprawy było tak duże, że ten normalny heteroseksualny mężczyzna poszedł do łóżka z biseksualnym przyjacielem Christine, w nadziei zdobycia dokładniejszych informacji o niej i ministrze.

Skandal wybuchł w grudniu 1962 r., kiedy to inny przyjaciel Keeler, wpadł do mieszkania Warda i wszczął strzelaninę. Jego odruch zazdrości był przysłowiową iskrą, która wznieciła „pożar" prasowy. Mimo iż związek Profumo z Keeler był od pewnego czasu tajemnicą poliszynela w ścisłych sferach rządowych, nie pozwolono drukować o tym ani słowa. Teraz prasa zachłystywała się sensacyjnymi szczegółami.

Sir Henry zachowywał spokój do końca, modląc się, że operacja przewerbowania Iwanowa usprawiedliwi cały skandal. Nie dopuszczał do siebie myśli, że istniało ryzyko przecieku informacji od Profumo do Rosjan. Amerykanie przekazali potem swe poważne obawy, że Rosjanie uzyskiwali od Profumo, via Keeler, tajemnice dot. broni nuklearnej.

Ale wydarzenia wymknęły się już spod jego kontroli. 6 czerwca 1963 r. Ward został aresztowany, a pod koniec lipca popełnił samobójstwo, przedawkowując narkotyk. Profumo musiał złożyć dymisję ze stanowiska ministra obrony i zrzec się mandatu poselskiego. Później popadł w zapomnienie, pracując jako zwykły urzędnik instytucji dobroczynnej wśród więźniów. W kilka miesięcy potem sir Henry został zmuszony do rezygnacji ze stanowiska szefa MI 5 i resztę życia, po 40 latach służby, spędził w wiejskim zaciszu. Christine Keeler wyszła za mąż w 1971 r., ale po roku rozeszła się i wróciła do profesji. Iwanow wrócił do Moskwy jeszcze w czasie trwania skandalu. Jego lojalności wobec partii i GRU nigdy nie podważano.

Finałem skandalu Profumo, poprzedzonego dodatkowo ucieczką do ZSRR w styczniu 1963 r. byłego szefa kontrwywiadu ds. radzieckich w MI 6 „Kima" Philby'ego, był upadek ówczesnego rządu konserwatywnego i rezygnacja Harolda Macmillana z funkcji premiera, któremu opozycja zarzuciła brak właściwego nadzoru nad bezpieczeństwem państwa.

JAN LARECKI

SAMO ŻYCIE

BESTIE NA ULICY

4 września Sławek O. skończył pracę na budowie przy ul. Wschodniej w Zgierzu. Po fajrancie wypił z jednym z robotników dwa wina.

— Nie byliśmy pijani — opowie później. — Trochę nas zamroczyło, ale nie słanialiśmy się na nogach. Kiedy się ściemniało, pożegnałem się i ruszyłem w stronę Kuraka, do przystanku tramwajowego.

Minęła godzina 21.30, gdy Sławek O. dochodził do skrzyżowania ulic 1 Maja i Łąkowej.

— W pewnej chwili podeszło do mnie dwóch mężczyzn. Spytali, czy mogę poczęstować ich papierosem. W paczce miałem zaledwie kilka sztuk. Chciałem je sobie zostawić na później. Poza tym, pomyślałem, jak chcą palić, to niech sobie na to zarobią.

Sławek O. nie pamięta dziś, w którym momencie otrzymał cios w głowę. Po kolejnym uderzeniu stracił przytomność. Odzyskał ją w szpitalu. Okazało się wtedy, że nie widzi.

Napadnięty miał „szczęście", że zajście obserwowało kilka osób. Nie interweniowali, gdyż bali się ogarniętych amokiem bandziorów. Ci najpierw kopali nieprzytomnego, potem zaś zaczęli okładać go grubym kablem. W końcu dali spokój. Opłukali ręce z krwi w ulicznej studzience i wsiedli do tramwaju.

Kiedy rozpoczęła się bójka, jeden ze świadków pobiegł do automatu powiadomić policję. Niemal natychmiast zjawił się radiowóz wraz ze strażnikami miejskimi.

Widzący zajście mężczyzna wsiadł do radiowozu ruszając w pościg za tramwajem. Po dziesięciu minutach pogoni zatrzymano skład. Młodociani bandyci siedzieli w środku. Byli zaskoczeni błyskawiczną interwencją.

Pierwszy z aresztowanych to 20-letni Wiktor N., poprzednio karany za rozbój. Do Zgierza przyjechał odwiedzić 21-letniego Witolda T., również karanego w przeszłości za kradzieże.

Obaj, jak wynika ze słów prokuratora Prokuratury Rejonowej w Zgierzu, Wiktora Ciacha, przyznają się tylko do popełnienia rozboju. Zaprzeczają, by używali niebezpiecznego narzędzia i... wydłubali nieprzytomnemu oczy.

Aresztowani są butni, odmawiając jakiejkolwiek współpracy z przesłuchującymi. Obecnie zostali poddani obserwacji psychiatrycznej. Prokuratura zarzuca im rozbój z użyciem niebezpiecznego narzędzia oraz pozbawienie ofiary wzroku (ciężkie uszkodzenie ciała). Grozi im za to kara od 5 do 15 lat pozbawienia wolności.

Sławka O. umieszczono obecnie w ośrodku rehabilitacyjnym dla niewidomych w Bydgoszczy. Tam będzie się uczył żyć z kalectwem.

Rozmawiając z przedstawicielami prasy łódzkiej powiedział, że nie potrafi zrozumieć tego, co się stało.

PAWEŁ SZLACHETKO

WIEK TRUCIZN

W latach 30. XX wieku trucizna już powszechnie stała się ekscytującym tematem wielu publikacji tak książkowych, jak i prasowych. Najmodniejsze w tamtych latach trucizny to: arszenik, cyjanek potasu i... kwas siarkowy. Zwłaszcza ten ostatni dość często używany był przez zdesperowane miłosnym zawodem kobiety. Po niego sięgnęła literacka bohaterka „Granicy" Zofii Nałkowskiej oraz...

„Krytycznego dnia (donosiły warszawskie „Wiadomości" z 1935 roku), jak codziennie o godz. 19.00 Rachela opuściła biuro. Co się później stało w jej mieszkaniu... nie wiadomo, lecz krótko przed samobójstwem dobijała się do okien sąsiadki, a gdy ta się ubrała i chciała otworzyć drzwi, usłyszała alarm domowników o zamachu. Denatka jednym haustem wychyliła butelkę kwasu siarkowego.

Sam fakt desperackiego czynu minąłby bez echa, gdyby nie inne okoliczności tej sprawy. Rachela Rudorferówna była wyznania mojżeszowego. Zawieziona z jękiem syren do szpitala, przed śmiercią kazała przywołać księdza rzymskokatolickiego, prosząc o udzielenie jej sakramentu chrztu.

Co skłoniło denatkę do porzucenia wiary swych ojców, dotąd nie stwierdzono. Fama głosi, jakoby nieszczęśliwa miłość do katolika. Taż sama fama tłumaczy samobójstwo rozpaczą z powodu odrzucenia przez rodziców narzeczonego.

Żydowska Gmina Wyznaniowa podpuszczona przez rodzinę zmarłej wysłała natychmiast delegację z rabinem dr. Awigdorem domagając się wydania zwłok. Jednakże delegacja nie osiągnęła skutku, gdyż ks. prałat dr Kotula oświadczył kategorycznie, że zmarła w chwili zgonu była chrześcijanką i nie wyda jej ciała na zbezczeszczenie obcymi obrzędami".

★ ★ ★

Czy dawne tragedie, demoniczni oraz tragiczni truciciele (i trucicielki) należy zaliczyć do przeszłości? Wiedza przeciętnego człowieka, jak też łatwość dostępu do różnorakich, częstokroć zabójczych, chemikaliów jest coraz większa. Mimo to codzienna prasa coraz to donosi o wypadkach, w których przestępcy częściej sięgają po pistolet bądź karabin maszynowy niż buteleczkę z trucizną. Niemniej...

Kilka lat temu jedna z opolskich komend rejonowych została powiadomiona o fakcie zaginięcia Stefana Z. Według zeznań złożonych przez żonę poszukiwanego, Matyldę Z., tydzień wcześniej wyjechał on samochodem do Warszawy w sprawach związanych z prowadzeniem firmy transportowej. Wbrew dotychczasowym zwyczajom nie wrócił do domu dnia następnego. Nie zawiadomił też rodziny, że jego pobyt poza domem może się przedłużyć.

Dwa dni przed tym, nim Matylda Z. zgłosiła się do policji, odbyła rozmowę telefoniczną. Dotyczyła jej małżonka. Nieznajomy, który przedstawił się jako „Lechoń", oświadczył, że Stefan Z. musiał uciekać za granicę, gdyż był zamieszany w aferę kryminalną. Swoje auto zostawił w Warszawie na Ochocie. Początkowo kobieta potraktowała rozmowę jako żart, zwłaszcza iż była święcie przekonana, że ślubny prowadzi legalny biznes. Kiedy jednak nieobecność Stefana Z. się przedłużała, poinformowała o niej prowadzących dochodzenie.

Rzeczywiście, na wskazanej ulicy policja odnalazła samochód. Był zamknięty. Po dostaniu się do środka odnaleziono dokumenty, które Stefan Z. zabrał z domu oraz dowód rejestracyjny samochodu.

Postać Stefana Z. od dawna była znana opolskiej policji. Pod koniec lat 80. zajmował się handlem odzieżą sprowadzaną z Turcji. Z początkiem lat 90. przerzucił się na samochody, które, podejrzewano, z legalnością kupna, a tym bardziej sprzedaży nie miały wiele wspólnego.

Dwa dni po tym, jak znaleziono samochód, na warszawskim Ursynowie do policji zgłosiła się Janina D., która również poinformowała o tajemniczym zniknięciu Stefana Z. Dość szybko okazało się, że owa dama była jego „drugą żoną", w czasie gdy załatwiał stołeczne interesy.

Ze słów kobiety wynikało, że Stefan Z. pół roku wcześniej wspominał jej, że obawia się niejakiego Alka P., z którym razem prowadził interesy. Miał też ją prosić, by dokładnie zapamiętała jego personalia, gdyż: „Może się to okazać potrzebne w razie, gdyby mi się coś stało. Już raz Alek dał mi kiedyś zamiast proszku przeciw grypie jakąś tabletkę, po której zjedzeniu straciłem przytomność".

Zatrzymany wspólnik początkowo do niczego się nie przyznawał. Kiedy jednak w jego mieszkaniu odnaleziono czeki bankowe Stefana Z., opowiedział, w jaki sposób zamordował wspólnika.

Motywem zbrodni była chęć przejęcia kilku tysięcy dolarów, części zapłaty, którą miał przekazać Stefanowi Z. za sprzedaż na Wschód jednego z kradzionych samochodów. Wspólnika otruł ciastkiem z nadzieniem z cyjanku potasu. Truciznę otrzymał od przyjaciela pracującego w zakładzie farmaceutycznym. Trupa zakopał w jednym z podwarszawskich lasów. Potem zatelefonował do żony wspólnika i posługując się fałszywymi personaliami próbował przekonać ją, że Stefan Z. uciekł za granicę.

★ ★ ★

Dziś, jak wyliczają fachowcy, przeciętny zjadacz chleba dziennie ma kontakt z kilkudziesięcioma rodzajami różnych trucizn — poczynając od domowych zapasów lekarskich, różnego rodzaju chemikaliów, po związki chemiczne, o które „ociera" się np. w drodze do pracy.

Ogólnie, jak twierdzą niektórzy z fachowców, otacza nas kilkadziesiąt tysięcy związków chemicznych, które potencjalnie mogą się stać przyczyną śmierci nie tylko jednego człowieka, ale i, w skrajnych przypadkach, kilku tysięcy istnień ludzkich. Jak się przed nimi chronić? Jak w porę je rozpoznawać i zapobiegać ich skutkom?

W Polsce od dawna istnieje Krajowe Centrum Informacji Toksykologicznej, gdzie funkcjonuje komputerowa baza danych ISIS (opracowana przez UNESCO). Zawiera on informacje o 8949 kartach leków i preparatach powszechnego użytku znajdujących się obecnie na rynku polskim. Jej utworzenie miało na celu usprawnienie dostępu do wszelkich informacji ukierunkowanych na zapobieganie otruciom oraz szybkie przekazywanie danych, które mogłyby być pomocne w leczeniu zatruć zaobserwowanych u zgłaszających się pacjentów.

W komputerowej bazie zgromadzone są wiadomości o składzie chemicznym preparatów dostępnych na rynku całego kraju, jak też dane mówiące o działaniu toksycznym poszczególnych związków chemicznych, objawach zatruć oraz wskazaniach dotyczących doraźnej pomocy przed przybyciem lekarza oraz pomocy lekarskiej w przypadku zatruć dorosłych i dzieci.

Szczególnie cenne, z punktu widzenia kryminalistyki, są informacje podające praktycznie wszystkie synonimy występujących leków, ich składniki, postać, barwę, rozpuszczalność czy też stosowane opakowania.

W 1908 roku angielski biolog Henry Jones wypowiedział znamienne zdanie, na które wówczas prawie nikt nie zwrócił szczególnej uwagi: „Już wkrótce przyjdzie nam żyć w wieku trucizn, między którymi — miejmy nadzieję — nie zabraknie miejsca dla człowieka".

PAWEŁ SZLACHETKO

POLONEZY DLA NAJLEPSZYCH

Trzonem Policji, bezpośrednio odpowiedzialnym za bezpieczeństwo ludzi jest prewencja. Nie przypadkiem więc kierownictwo Szkoły Policji w Słupsku wraz z Biurem Prewencji KGP zainicjowało w październiku ub. r. I Mistrzostwa Polski Policji w Wieloboju Prewencji.

Sport i zakres policyjnych obowiązków nie zawsze można pogodzić — ale w moim przekonaniu najważniejszy jest cel, jaki postawili sobie organizatorzy: — rozszerzenie wiedzy, umiejętności i sprawności fizycznej policjantów prewencji, skuteczne współdziałanie w patrolu, podnoszenie rangi policji prewencji oraz kształtowanie — przez działania zgodne z prawem — pozytywnej oceny tej policji w oczach społeczeństwa.

Na tegoroczne, II Mistrzostwa Polski Policji w Wieloboju Prewencji, które odbyły się we wrześniu br., przybyło 51 dwuosobowych zespołów (102 osoby, nie licząc kierowników i trenerów) ze wszystkich komend wojewódzkich w kraju i szkół policyjnych (oprócz Szkoły Policji w Pile). Ekipy KWP Rzeszów, KWP Zielona Góra i KWP Piotrków Trybunalski zostały zdyskwalifikowane, gdyż wbrew regulaminowi zgłosiły jako swych reprezentantów słuchaczy szkół policyjnych.

Wśród konkurencji wieloboju były: — test z wiedzy policyjnej, techniki obezwładniania osób, tor przeszkód zakończony strzelaniem z broni służbowej, bieg terenowy i strzelanie zza osłony. Szósta konkurencja była typowo policyjna — interwencje policyjne. Obejmowała ona interwencję 2-osobowego patrolu „na melinie", w „kawiarni" oraz podczas zatrzymywania „włamywaczy" do prywatnego sklepu spożywczego.

Trzy- lub czteroosobowe grupy sędziowskie złożone z wykładowców ze szkół policyjnych oceniały (w skali 10-punktowej), czy i w jakiej mierze dany patrol działa zgodnie z prawem, oceniano też skuteczność, bezpieczeństwo i taktykę działania, rolę dowódcy i współdziałanie członków patrolu, ich komunikatywność.

Inną widowiskową konkurencją były techniki obezwładniania osób, oceniane w tej samej 10-punktowej skali. Członkowie patrolu — na zmianę — symulowali różne techniki obezwładniające, np. obronę przed zagrożeniem bronią, obronę przed uderzeniem kijem itp. Warianty obrony były losowane przez zawodników.

Już na początku widoczne były znaczne różnice w poziomie wyszkolenia, rzucały się w oczy braki w przygotowaniu. Tam, gdzie nieliczni wśród policjantów adepci wschodnich sztuk walki używali efektownej techniki (oceniano nie tyle efektowność, co skuteczność i bezpieczeństwo), tam nie wtajemniczeni używali siły. Skutek był taki, że zawodnik z Włocławka odniósł poważną kontuzję stawu barkowego.

Pod koniec konkurencji poprosiłem o ocenę jej wykonania podinsp. Jacka Hachulskiego, wykładowcę CSP w Legionowie.

— Poziom był niski, obfitował w wiele niebezpiecznych akcji, które, moim zdaniem, były wynikiem słabego wyszkolenia ludzi reprezentujących poszczególne województwa. Owszem, było kilka zespołów, jak np. zespoły ze Słupska, jak obydwa zespoły z Legionowa czy ekipa z Suwałk, które zaprezentowały się dość dobrze, jednak wielu uczestników swoje braki techniczne próbowało kryć za chaotycznymi, agresywnymi działaniami, stwarzając zagrożenie dla zdrowia swoich partnerów. Przyczyna? Należałoby jej poszukać w pionach szkolenia komend wojewódzkich bądź rejonowych. One decydują o tym, czy policjant przyjedzie na mistrzostwa przygotowany, czy będzie się szkolił w przeddzień imprezy.

Zapytany o ocenę mistrzostw, startujący poza konkursem zdobywca I miejsca przed 2 ekipami ze Szkoły Policji w Słupsku (II i III) oraz ekipą z Wyższej Szkoły Policji (IV miejsce) — również poza konkursem Jan Dobrzyjałowski, wykładowca z Legionowa powiedział:

— Idea takich zawodów, bardzo mi się podoba, jest to lustro, w którym odbija się wszystko, co dzieje się w policji „na dole". Uważam, że poziom imprezy z roku na rok będzie wyższy. Do tego potrzeba jednak zmiany mentalności niektórych naczelników w pionach prewencji, ich podejścia do problemu szkolenia podwładnych, musi to być szkolenie permanentne...

Nadkomisarz Zbigniew Rosiak z Zakładu Interwencji Policyjnych Szkoły Policji w Słupsku, sędzia główny mistrzostw, poproszony o ocenę konkurencji „tor przeszkód zakończony strzelaniem" oraz „interwencje policyjne", powiedział:

— W pierwszej z tych konkurencji rozbieżność punktowa, a więc umiejętności strzeleckie i sprawność fizyczna były dość duże — zwyciężyła drużyna Szkoły Policji w Słupsku wynikiem 184 pkt., ostatnie miejsce zajęła KWP Białystok — 448 pkt. (tu punkty liczono odwrotnie, słabszym doliczano punkty karne — przyp. red.). Jeśli chodzi o interwencje policyjne, widoczne były różnice w wyszkoleniu policjantów.

Najczęstszym błędem — zdaniem sędziego głównego — były: nieumiejętność oceny sytuacji i niedostate-

czna komunikatywność — trudności w nawiązaniu kontaktu, czy to z poszkodowanymi, czy to ze sprawcami. Wychodziły błędy i braki, jeśli chodzi o takie elementy interwencji jak: wzajemne ubezpieczanie, sprawdzanie terenu. W wielu przypadkach interweniujący nastawieni byli bardziej na działania agresywne niż na uprzednie przeanalizowanie sytuacji i podjęcie decyzji stosownych do zagrożenia. Tu właśnie ujawniły się różnice w umiejętnościach policjantów, które miały wpływ na oceny komisji sędziowskich...

Już drugiego dnia mistrzostw, po 4 konkurencjach (test, techniki obezwładniania, interwencje policyjne i tor przeszkód ze strzelaniem) wyłoniła się czołówka najlepszych zawodników. Okazali się nimi słuchacze Szkoły Policji w Słupsku — Dariusz Zagórski i Robert Woźniak. Prowadzenia nie oddali do końca zawodów. Podobnie ekipa KWP w Słupsku, w składzie Janusz Kramek i Andrzej Kowalski, nie pozwoliła odebrać rywalom znakomitej, drugiej lokaty.

Znajdująca się na trzeciej pozycji ekipa KWP Wrocław (w składzie: Andrzej Kulesza, Urban Gidziński) po dwóch ostatnich konkurencjach spadła na czwarte miejsce, a pozycję tę zajął zespół WSPol. w Szczytnie, tj. Grzegorz Nawrocki i Krzysztof Jędryszczak. Ekipa KWP Gdańsk spadła po dwóch ostatnich konkurencjach z piątego miejsca, ustępując je ekipie KWP Kielce — Dariuszowi Kalińskiemu i Mirosławowi Stępniowi.

Być może zakończenie II Mistrzostw byłoby dla niektórych ekip bardziej fortunne, gdyby nie deszcz, który zaczął siąpić w przededniu ostatnich rozgrywek strzelania zza osłony i biegu terenowego.

W środę, 27 września, w obecności zastępcy komendanta głównego Policji nadinsp. Janusza Wikariaka i dyrektora Biura Prewencji KGP podinsp. Ireneusza Wachowskiego, kierownictwa szkoły, przedstawicieli KKW NSZZP oraz władz miasta i województwa, odbyła się uroczystość wręczenia zwycięzcom II Mistrzostw Polski Policji w Wieloboju Prewencji nagród zespołowych i indywidualnych. Zdecydowano, że nagrody główne — samochody marki Polonez otrzymają jednostki Policji, reprezentowane przez najlepsze zespoły

spoza szkół policji, a więc KWP Słupsk (II miejsce), KWP Wrocław (IV miejsce) i KWP Kielce (V miejsce). Najlepsi otrzymali również pamiątkowe puchary i nagrody indywidualne: zdobywcy I miejsca — rowery górskie, II miejsca — radiomagnetofony „Sony". Nagrodą dla zdobywców III miejsca były namioty turystyczne.

Ufundowano także nagrody-niespodzianki. Zastępca komendanta głównego Policji nadinsp. Janusz Wikariak poinformował, że patrole, które zajęły miejsca 1—3 otrzymały po 800 zł, te które znalazły się na pozycjach 4—10 — po 500 zł nagrody.

WALDEMAR GAJEWSKI
zdj. autor i Grzegorz Żywiecki (SP w Słupsku)

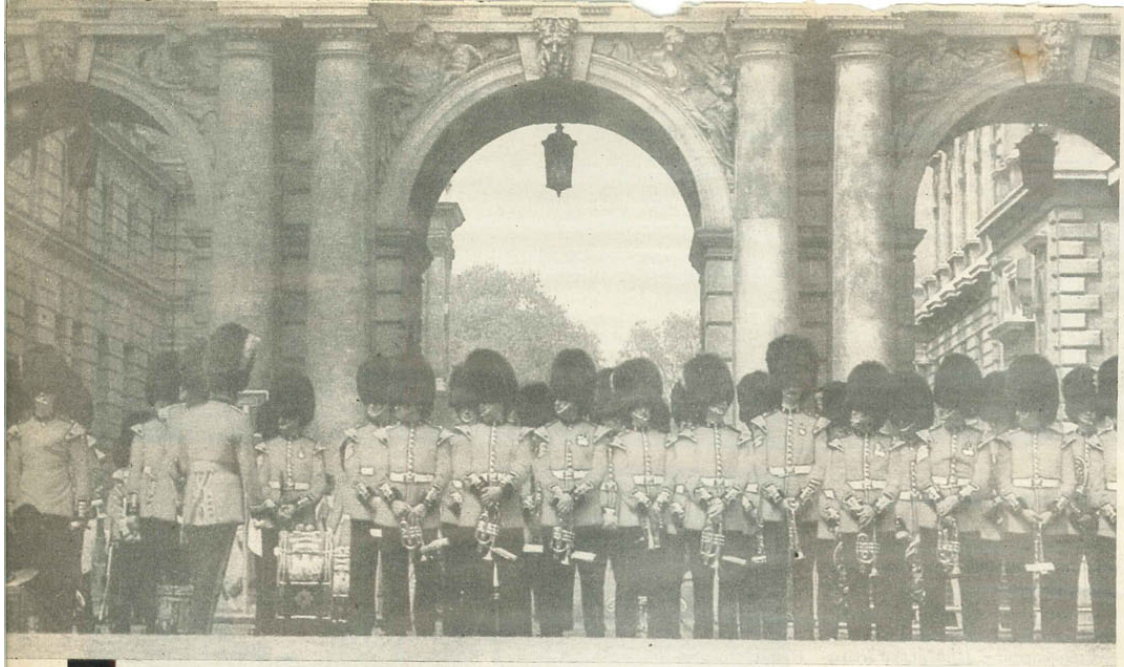

PERYPETIE ŻURNALISTY

Welcome to Europe

Na tegoroczny urlop, który na długo pozostanie mi w pamięci, wybrałem się w podróż zagraniczną jako uczestnik autokarowej wycieczki zorganizowanej (z biura „Rainbow Tours"). Trasa była następująca: Warszawa — Londyn — Dover — Calais — Paryż.

Niestety, nie dane mi było ujrzeć stolicy Zjednoczonego Królestwa. Po ośmiogodzinnej przeprawie promowej z belgijskiego Zeebriggen do angielskiego Felixtowe, brytyjscy urzędnicy poprosili wszystkich pasażerów naszego autokaru o opuszczenie pojazdu (jadąca przed nami wycieczka z Niemiec została przepuszczona bez problemu). Wcześniej, w trakcie jazdy, nasz pilot poinformował nas o specyficznym prawie obowiązującym na Wyspach Brytyjskich. A mianowicie, po zniesieniu wiz każdy wjeżdżający do Anglii turysta musi „przekonać" (sic!) urzędnika imigracyjnego, że nie zamierza pozostać i pracować. Zdarza się, iż niektórzy Polacy nie są wpuszczani. „Z ostatniej, 40-osobowej wycieczki zawrócono 8 uczestników, samych młodych mężczyzn" oznajmił. Nie zaniepokoiłem się tym. Wszak intencje miałem czyste, a to przecież jest najważniejsze. Ponadto zabrałem ze sobą międzynarodową legitymację prasową wystawioną przez Stowarzyszenie Dziennikarzy RP. (Dzięki niej miałem mieć bezpłatny wstęp do niektórych muzeów).

Ustawiliśmy się w kolejce do stanowisk przedstawicieli władz Jej Królewskiej Mości. Było ich trzech. Dwaj to typowi Anglicy, a trzeci — jak się okazało najważniejszy — pochodzenia azjatyckiego, o czym świadczyły jego rysy twarzy. Do niego właśnie na nieszczęście trafiłem.

Pierwsze pytania były stereotypowe: jak długo zamierzam pozostać w Anglii, co chciałbym zwiedzić itp. Powiedziałem, że British Museum, Tower of London oraz Baker Street, przy której to ulicy mieszkał sławny Sherlock Holmes, literacki bohater Conan Doyle'a. „Chciałbym zrobić sobie zdjęcie pod tabliczką z numerem 221 B, gdzie mieszkał słynny detektyw". Na panu urzędniku nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Padło pytanie o mój zawód. „Jestem dziennikarzem" odparłem pokazując legitymację. „Ach tak, ale ja nie wierzę dziennikarzom" oświadczył. Myślałem, że żartuje, ale gdzie tam. Długo i ze wszystkich stron oglądał moją legitymację robiąc, nie wiedzieć czemu, pełne dezaprobaty grymasy. „Nie znam takiego związku. Siedziba w Pradze? Co to jest?" mówił ni to do mnie, ni do siebie (zarząd główny Międzynarodowego Stowarzyszenia Dziennikarzy mieści się w stolicy Czech).

Zapytał, w jakiej redakcji pracuję. Kiedy usłyszał, że w „Gazecie Policyjnej", kazał sobie dokładnie opowiedzieć o profilu czasopisma i zamieszczanych w nim publikacjach. Opowiedziałem. Wtedy zadał mi nieco zaskakujące pytanie: „Co pan wie o sprawie O.J. Simpsona?" Zbaraniałem. Okazało się, że casus tego czarnoskórego sportowca oskarżonego o morderstwo obecny był od kilku tygodni na pierwszych stronach gazet brytyjskich. Pan urzędnik uznał, że wiem za mało. Kolejne pytanie dotyczyło pieniędzy. Ile ich mam i w jakich walutach. I znowu podpadłem, tym razem z powodu braku franków. „Z Anglii zamierza pan jechać do Francji i nie ma pan franków?" Wyjaśniłem, że w Warszawie tuż przed wyjazdem nie mogłem dostać w kantorze waluty francuskiej i dlatego, obok funtów, kupiłem dolary, aby wymienić je we Francji. Panu urzędnikowi nie mieściło się jednak w głowie, że mogłem nie dostać franków, czemu głośno dał kilkakrotnie wyraz.

Na pytanie: „Ile pan zarabia?", odparłem, że siedem i pół miliona złotych. „Gdyby pan tyle zarabiał, to byłoby pana stać, żeby przylecieć do Anglii samolotem" zawyrokował dając dowód całkowitej ignorancji w zakresie polskich realiów. Potem zapytał o mój stan rodzinny. „Ma pan żonę i córeczkę, tak? A więc pan chce tu zostać, żeby na nie zarobić". Ręce mi opadły, musiałem jednak dalej odpowiadać na całą masę pytań. Następnie pan urzędnik skontrolował mój bagaż. Robił to długo i bardzo dokładnie. Obejrzał nawet mój notatnik, kalendarzyk z telefonami, osobiste zdjęcia, przy których musiałem wyjaśniać, co przedstawiają i gdzie zostały zrobione. Przeszukał także moją kurtkę, kazał opróżnić kieszenie w spodniach. Potem musiałem spakować się i czekać.

Po długiej chwili wyszedł z zaplecza i wręczył mi pismo. Było w nim napisane, że władze brytyjskie z przykrością odmawiają mi prawa wjazdu do swojego kraju. Zapytałem o powód. Podał go — nie mam franków, niewiele wiem o sprawie O.J. Simpsona, mam żonę i maleńkie dziecko... „Ale ja nie mam zamiaru zostać w Anglii!" zawołałem. „Wielu pańskich rodaków tak mówi, a potem zostaje" odparł i dodał „To pan powinien przekonać mnie, a ja nie jestem przekonany". No to ładnie! Władze angielskie nie chcą wpuścić na swój teren polskiego dziennikarza, będącego w dodatku miłośnikiem Szekspira, Laurence'a Oliviera, Sherlocka Holmesa i Beatlesów. Od decyzji urzędnika nie było odwołania. Jego osobiste zdanie to wyrok ostateczny. Dalsza dyskusja nic nie wniosła.

Razem ze mną zawrócono czterech młodych ludzi. Jeden z nich, głośno protestujący przeciwko sposobowi, w jaki Anglicy traktują Polaków, uparł się, żeby zadzwonić do polskiego konsulatu. Pozwolono mu. Od przedstawiciela władz RP usłyszał, że nie można nic zrobić, gdyż takie prawo i już.

Kiedy wychodziliśmy z bagażami „mój" urzędnik nieoczekiwanie zbliżył się do mnie (może chciał na koniec zrobić dobre wrażenie?) i powiedział, że nic nie stoi na przeszkodzie, abym w przyszłości starał się o ponowny wjazd do Anglii. W odpowiedzi podziękowałem mu za brytyjską gościnność i oznajmiłem, że nie będę więcej próbował odwiedzić Wielkiej Brytanii. Odszedł jak niepyszny.

W towarzystwie czterech nieco młodszych rodaków udałem się na prom. Eskortowało nas dwóch rosłych policjantów (dobrze, że nie założyli nam kajdanek). Po kilkugodzinnej podróży na wybrzeże Belgii oficer pokładowy przekazał nas w ręce urzędników belgijskich, którzy po załatwieniu odpowiednich formalności zwrócili nam paszporty. Musieliśmy na własną rękę i własny koszt dostać się do Calais we Francji, dokąd nasza wycieczka, po zwiedzaniu i noclegu w Londynie, miała przybyć następnego wieczora. Niestety organizatorzy imprezy nie poczuwali się do opieki nad niewpuszczonymi do Anglii uczestnikami i pozostawili nas na pastwę losu. Po kilkugodzinnej podróży różnymi środkami transportu, dzięki pomocy i życzliwości Belgów i Francuzów, dotarliśmy do Calais, gdzie po 24 godzinach mogliśmy kontynuować wycieczkę.

Na pamiątkę pozostała mi w paszporcie brytyjska wiza przekreślona przekątną kreską. Patrząc na nią pomyślałem ponuro: „Welcome to England, welcome to Europe".

PIOTR KITRASIEWICZ

LUBLIN

LUBELSKIE ZAKŁADY PRZEMYSŁU SKÓRZANEGO S.A.

ul. Kunickiego 20/24, 20-417 Lublin
tel. (081) 222-37, tel./fax (081) 276-47

Agencje detektywistyczne i ochrony

Renomowany producent obuwia dla wojska i policji oferuje szeroki asortyment butów militarnych cenionych w kraju i Europie Zach.

W naszej ofercie są także buty opracowane na potrzeby specjalnych oddziałów Policji i UOP. Lekkie, z wysokiej jakości skór wodoodpornych, na elastycznych przeciwpoślizgowych spodach są gwarancją bezpieczeństwa i komfortu użytkownika.

Bezpieczne buty do niebezpiecznej pracy

Realizujemy zamówienia indywidualne za zaliczeniem pocztowym

HOROSKOP NA GRUDZIEŃ

BARAN
(Aries)
21 III — 19 IV

Grudzień jak zwykle upłynie pod znakiem świąt i Nowego Roku. Ale nie tylko. Czeka Cię wiele zajęć nie związanych z samymi uroczystościami. Szczególnie pracowite dni szykują Ci przełożeni, a właściwie różnorodność tzw. zbiegów okoliczności. Największą trudność sprawi znalezienie wspólnego dla nich „motywu". Rozwikłanie zagadki zajmie sporo czasu, ale warte będzie takiego zachodu.

LEW
(Leo)
23 VII — 22 VIII

Twoje plany nie zawiodą, jeżeli uda Ci się pogodzić zwaśnione strony. Konflikt z wolna zakrawa na farsę i najwyższa pora położyć kres tej komedii. Nikt już się nią nie bawi. Pomyśl o rodzinie. Spędzisz z nią teraz naprawdę wiele czasu i nie wykręcaj się z planowanych zamierzeń, zrzucając wszystko na zmęczenie pracą. Nie tylko Ty odczuwasz brak wytchnienia. Tegoroczne święta to prawdziwy relaks dla Ciebie.

STRZELEC
(Sagittarius)
22 XI — 21 XII

Nie musisz udawać skromniaka. Należą Ci się słowa uznania i nie dziw się, kiedy zostaną Ci wyrażone. Może to trochę krępujące, ale przyznasz, że rzadko miewasz takie sytuacje. Czeka Cię grudzień wyjątkowo miły, choć nie spodziewałeś się właśnie takiej końcówki roku. Wykorzystaj ją jak najlepiej. Trzymaj fason, co nie będzie takie trudne i baw się szampańsko ostatniej nocy tego roku.

BYK
(Taurus)
20 IV — 20 V

Po wielu burzliwych dniach nastąpi prawdziwa sielanka. W innym niż zwykle nastroju będziesz przystępował do swych stałych obowiązków. Zupełnie jakby codzienność nabrała rumieńców. Przygotowania do świąt nie będą tak absorbujące, jak się tego obawiasz. Tym przyjemniej upłyną, na dodatek w znakomitym towarzystwie. Powitanie Nowego Roku okaże się mniej huczne, niż to bywało. Tym niemniej udane.

PANNA
(Virgo)
23 VIII — 22 IX

Wbrew pozorom to będzie spokojny miesiąc, mimo wynikających z niego corocznych obowiązków. Tym razem nie czeka Cię ich aż tak wiele, a to, co będzie Twoim udziałem, sprawi Ci niekłamaną przyjemność. Ale nie tylko pod tym znakiem upłynie grudzień. Miła wiadomość zaszczepi w Tobie myśl o interesującej podróży i ten temat stanie się główną atrakcją nadchodzących świąt.

KOZIOROŻEC
(Capricornus)
22 XII—19 I

Miły początek. I co ciekawsze, nie tak pracowity jak zwykle. Nie powinieneś też mieć wyrzutów sumienia z tego powodu. Tak się właśnie ułoży i kropka. Nie myśl też sobie, że inni mogą mieć jakieś pretensje. A niby dlaczego? Nie pozostaje nic innego, jak korzystać z nie lada okazji i już szykować się do interesujących, obiecujących zmian Nowego Roku.

BLIŹNIĘTA
(Gemini)
21 V — 20 VI

Wypatrujesz Nowego Roku niemal jak zbawienia. Coś w tym jest. Możesz liczyć na prawdziwy przełom w swoim życiu zawodowym i prywatnym. Czeka Cię co prawda seria spraw do załatwienia — i to dość uciążliwych — ale wykrzeszesz z siebie tyle sił, że wszystko będzie wydawać się „do przeskoczenia". Przy okazji bardzo cenne doświadczenie, które przyda Ci się w przyszłości.

WAGA
(Libra)
23 IX — 22 X

Twój niesłychany upór w pewnej ważnej sprawie będzie dla Ciebie jedyną metodą na doprowadzenie planu do końca. Nie wszyscy Cię w tym poprą, ale też nie musisz udawać, że poradzisz sobie w pojedynkę. Nie odmawiaj więc pomocy, której możesz naprawdę potrzebować. Chyba nie chcesz urazić uczuć osób Ci oddanych, próbujących chociażby w ten sposób Ci się odwdzięczyć...

WODNIK
(Aquarius)
20 I — 19 II

Chodzenie własnymi ścieżkami nie zawsze idzie w parze z planami. W tym miesiącu będziesz często bywał na różnego typu spotkaniach, nawet nudnawych. Jednak nie rezygnuj z nich. Przekonasz się, że mimo Twojego sceptycyzmu, masz naprawdę wielu przyjaciół, a w grudniu tego roku znajdziesz na to sporo dowodów. Pod tym względem będzie to wyjątkowo miły koniec roku, nie mówiąc o świętach w bardzo bliskim gronie.

RAK
(Cancer)
21 VI — 22 VII

Wydaje Ci się, że już nic nie poprawi Twojej sytuacji materialnej i nawet marzenia o jakimś cudzie odłożyłeś głęboko do szuflady. Nie pora na załamania. Sytuacja nie okaże się aż tak dramatyczna, jak ją dziś oceniasz. Rzeczywiście, nie masz co liczyć na cuda. Możesz natomiast zaufać samemu sobie i zapowiadanym zmianom. Święta spędzisz więc w całkiem dobrym nastroju, a sylwestra szampańsko.

SKORPION
(Scorpius)
23 X — 21 XI

Można powiedzieć, że niedługo zamknie się jeden z trudniejszych rozdziałów Twojego życia. Marzyłeś o tym od dawna, a kiedy to nastąpi, nagle nie będziesz mógł znaleźć sobie miejsca. Przyjdzie Ci do głowy nowy pomysł. Na szczęście, nie tak ryzykowny, jak w przypadku niektórych niedawnych planów. Słuchaj rad. Naprawdę mogą Ci się przydać. I nie lekceważ ludzi.

RYBY
(Pisces)
20 II — 20 III

Odpoczynek — o tym marzysz przede wszystkim. To Ci się śni częściej niż zwykle. I nareszcie spełnią się te pragnienia. Także inne trudne sprawy znajdą pomyślny finał. Szczególnie ta rodzinna, która od dawna leży Ci na sercu. Po prostu odetchniesz i z większym animuszem przystąpisz do przygotowań świątecznych. Pochłoną Cię bez reszty, aż najbliżsi nie będą mogli się nadziwić.

Miłych świąt życzy
Teleskop

magazyn 997 kryminalny

WYDAJE
KOMENDA GŁÓWNA POLICJI

Zespół redakcyjny: **Waldemar Gajewski, RYSZARD HRYCYK** (red. graficzny), **Przemysław Kacak, Piotr Kitrasiewicz, Tadeusz Noszczyński, EDWARD NOWAK** (p.o. redaktora naczelnego, 601-61-26, 48-98-10 lub MSW 149-70), **Jerzy Paciorkowski, MARIA PAWLAK** (sekretarz redakcji, 601-61-32, 48-14-30), **Adam K. Podgórski** (oddział redakcji w Katowicach, 510-221 w. 1965), **Zygmunt Podhorodecki, Elżbieta Sitek, Beata Tallar, Paweł Szlachetko, Hanna Świeszczakowska, MARCEL TABOR** (zastępca red. naczelnego, 601-61-72, 48-14-30), **Krzysztof Zaczkiewicz** (red. techniczny).

FOTOREPORTERZY: **Krzysztof Mokrzyszewski, Krzysztof Potocki**

ADIUSTACJA I ŁĄCZNOŚĆ Z CZYTELNIKAMI: **Agata Guzdek-Wrotna** (601-61-15)

KOREKTA: **Małgorzata Boruta, Elżbieta Mirowska**

KOLPORTAŻ I MARKETING: **Teresa Tomaszewska** (601-68-66)

STALE WSPÓŁPRACUJĄ: **K. Górniak, S. Jung, J. Larecki, Z. Matwiej, M. Owczarek, Z. Razmuk, M. Sokalska, L. Terpiłowski**

ADRES REDAKCJI: 02-514 Warszawa 12, ul. Domaniewska 36/38, Telefon sekretariatu: 601-61-26, kasa 601-60-86, tel./fax 601-68-67 lub MSW 168-67. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych oraz zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów nadesłanych artykułów.

PRENUMERATA

I. Zamówienia na prenumeratę od osób cywilnych i instytucji przyjmują terenowe oddziały Zakładu Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch".

II. Funkcjonariusze, pracownicy cywilni Policji oraz emeryci i renciści resortowi zamawiają prenumeratę u naszego kolportera w najbliższej jednostce Policji.

Reklamacje w sprawie kolportażu kierować pod adresem redakcji: **ul. Domaniewska 36/38, 02-514 Warszawa 12, tel.: 601-68-66, 601-61-26. Fax: 6016867. Konto bankowe: BPH O/III Warszawa nr 320049-433-130-1 ZAG KGP (prenumerata).**

Wyłączny dystrybutor w USA (wschodnie wybrzeże) Andrew Artistic Distribution INC. Janusz Czuj, 419 Manhattan Ave., Brooklyn NY 11222 tel.: (718) 388-6770, (718) 384-6050 fax: (718) 387-0484.

OGŁOSZENIA: Przyjmujemy pod adresem redakcji „MK 997". Cena: słowo — 2 zł, cm² cz.-b. — 3 zł. Kolorowe dwukrotnie droższe. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

DRUK: Wojskowe Zakłady Graficzne, 00-950 Warszawa, ul. Grzybowska 77

numer zamknięto: 17 XI 1995 r.
Zam. 51189
REDAKTORZY DYŻURNI:
HANNA ŚWIESZCZAKOWSKA
MARCEL TABOR

zdj. P. Pestka

WALKA Z NIETRZEŹWOŚCIĄ

Nie ma zbrodni doskonałej. Potwierdził to po raz któryś wyrok sądu w pewnym szkockim mieście, skazujący niejakiego Paula Aguthera na 12 lat więzienia.

Winowajcy, 48-letniemu biochemikowi, tak dopiekły pijaństwa małżonki, że do ulubionego jej napoju — toniku, domieszał mocnej trucizny. Zaprawił nią także butelkę ginu.

W celu ukrycia zbrodni zabójca kupił kilka butelek toniku, które następnie, po odpowiedniej „obróbce", odniósł z powrotem do sklepu i niepostrzeżenie odstawił na półkę. Chciał w ten sposób stworzyć pozory, że żona kupiła już zatruty napój, a prócz niej zatruły się także inne osoby.

Mąż-truciciel przewidział wszystko z wyjątkiem jednego: moment odstawiania butelek z trefną zawartością zarejestrowała sklepowa wideokamera.

W.G.

ZAPAMIĘTAJ:

Nieszczęściem Polski jest to, że jej historia jest tak zakłamana, jak nigdzie na świecie.

Jerzy Giedroyć

TĘCZOWE BANKNOTY

Falsyfikaty banknotów produkowane na kserokopiarkach typu Canon są w obiegu niemal na całym świecie. Ostatnio niemieccy eksperci od fałszerstw zarzucili Bundesbankowi „arogancję i bujanie w obłokach". Oto w czasie kilku lat, kiedy to przygotowywano emisje nowej generacji marek, bank centralny nie poświęcił najmniejszej uwagi ekspertom kryminalistyki stykającym się w swej pracy na co dzień z pieniężnymi podróbkami.

Do niedawna bank niemiecki poważnie rozważał możliwość umieszczenia na markach odpowiednich hologramów. Szybko jednak zrezygnowano z tego pomysłu, ponieważ hologramy łamią się przy zginaniu, zatem ich przydatność, jeśli chodzi o banknoty, jest niewielka.

Bankowcy nie zwrócili uwagi na sugestie policyjnych kryminalistyków jeśli chodzi o tzw. kinegramy.

Kinegram podobny jest do pieczęci, z tym tylko że składa się ona z 3 warstw przepuszczających światło. W każdą z owych warstw wbudowany jest jeden obraz. Kolor i wielkość obrazu zmieniają się w zależności od kąta padania światła. Tak więc krąg promieni stawałby się raz większy, raz mniejszy, po czym w miejsce tęczy pojawiałoby się godło Niemiec lub litera „D".

W podobne zabezpieczenia i to z dużym powodzeniem wyposażono już 10-dolarowe banknoty australijskie. Czy niemieccy bankowcy skorzystają z rady policyjnych ekspertów?

P. S.

MYŚLI

Maska historyczna pozwala nie łamać sobie głowy nad trudnymi problemami współczesności.

prof. Karol Modzelewski

W życiu ludzkim, podobnie zresztą jak w życiu państwa, nie ma nic pewnego.

Winston Churchill

Agresja jest skierowana nie tylko przeciw innym, lecz także przeciw życiu agresora, bo on sam nienawidzi życia.

Hans Magnus Enzensberger

ŚLAD SZEROKI NA PAZNOKIEĆ

Już od lat trwa zainteresowanie wykorzystaniem wzorów krawędzi paznokci jako metody identyfikacji indywidualnej. We wszystkich przeprowadzonych dotąd na Zachodzie badaniach bliźniąt jednojajowych nie stwierdzono zgodności między rysunkiem krawędzi paznokci na odpowiadających sobie palcach.

Najbardziej zagadnieniem tym interesują się Amerykanie, którzy przeprowadzili szereg badań na dość znacznej populacji ludzkiej. Z dotychczasowych ustaleń wynika, że po przycięciu paznokieć odrasta w tempie ok. 0,1 mm na 48 godzin. Po uprzednim odcięciu (wyrównaniu) paznokcia nożyczkami powracają one do swego pierwotnego rysunku (krawędzi) po czterech, pięciu dniach.

Dotychczasowe wyniki badań zdają się potwierdzać, że wzory te są unikalne, co może sprzyjać ich wykorzystaniu w identyfikacji osobniczej. Rzecz jasna, badający nie wzięli pod uwagę faktu, że przestępca wybierając się np. na włamanie wcześniej uda się do manicurzystki.

P. S.

GŁÓWNY SZLAK KOKAINOWY

Według Interpolu, Brazylia stała się główną południowoamerykańską trasą przemytu kokainy do Europy. Sprzyja temu sąsiedztwo krajów andyjskich, nie strzeżone długie granice w Amazonii, dogodne połączenia komunikacyjne i system bankowy.

Np. niedawno na międzynarodowym lotnisku w Sao Paulo aresztowano sześciu mieszkańców Afryki, nafaszerowanych kokainą. W żołądku każdego z nich znajdowało się po pół setki połkniętych wcześniej niewielkich kapsułek z narkotykiem. Przemytnicy wpadli, gdy jeden z nich doznał gwałtownych bólów żołądka. Kiedy dokładnie zrewidowano ich bagaże, znaleziono jeszcze 10 kg kokainy.

W ostatnim czasie władze brazylijskie zatrzymały przeszło 30 Afrykańczyków, którzy usiłowali przemycić narkotyki do Europy tzw. szlakiem nigeryjskim. Rozpoczyna się on w Kolumbii i Boliwii, gdzie produkuje się kokainę, a kończy w rejonie śródziemnomorskim, przy wykorzystaniu Brazylii i Nigerii jako punktów tranzytowych.

Nigeryjczycy zazwyczaj korzystają z lotów rosyjskiego Aerofłotu na trasie Buenos Aires — Moskwa. Samoloty tej linii lądują po drodze w Brazylii i Afryce.

(gi)

Agencja Ochrony Mienia
KAMPOL
Zielonka
ul. Przemysłowa 2
tel. 781-04-82
fax 781-04-83

★ Konwojowanie
★ Alarmy - montaż
★ Monitorowanie obiektów
★ Pewność i odpowiedzialność
★ Ochrona grupami interwencyjnymi
★ Lojalność

Krzyżówka nr 23

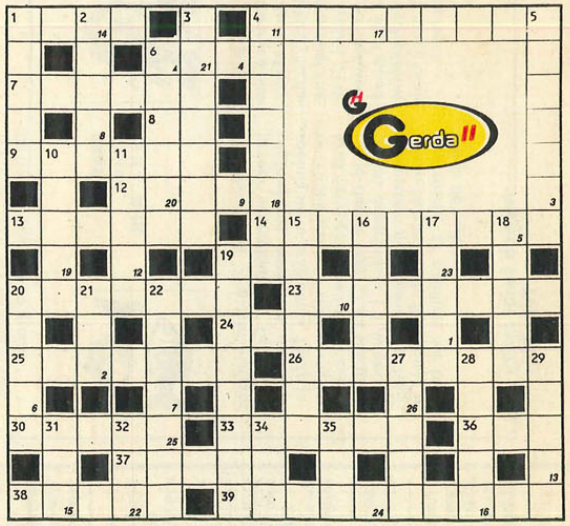

Poziomo: 1 — czeka tego, co naruszył prawo, 4 — Nick Carter, Sherlock Holmes i Sexton Blake, 5 — poderwanie się, 7 — świeża wiadomość, 8 — grupa krwi, 9 — wyjątkowa do zrobienia zakupów, 12 — miejsce zamieszkania, 13 — polecenie przełożonego, 14 — pożeraczka czasu, 19 — tkwił w częstokole, 20 — sekrety np. zawodu, 23 — wyspa w zatoce Bombajskiej, 24 — duża ryba słodkich wód, 25 — niemiecki admirał i polityk (1849—1930), 26 — opracowanie na piśmie, zwykle obszerne i nudne, 30 — skórzany, pleciony bicz, 33 — duże drzewa tropikalne, dostarczają oleju, gumożywic, 36 — wuj z powieściowej chaty, 37 — po nim biegnie tor kolejowy, 38 — np. doctora honoris causa, 39 — wąski pas oficerski, przerzucony przez ramię.

Pionowo: 1 — twoje osobiste w banku, 2 — na lądzie, 3 — profesja z cmentarza, 4 — godzina południa, 5 — sportowa na stadionie, 6 — porzucone dziecko nieznanych rodziców, 10 — suma pieniędzy, 11 — jezuitów, franciszkanów, 15 — część składowa, 16 — Helena we Włoszech, 17 — las bagienny znad Amazonki, 18 — krwawa rozprawa, 19 — obywatel, którego grał niezapomniany Bogumił Kobiela, 20 — system zamków produkcji GERDY, 21 — kanion, 22 — ozdobna litera, 27 — chorwacki historyk i krytyk literatury (1894—1955), 28 — Maciej (1884—1940), działacz ruchu ludowego, 1922—1927 marszałek Sejmu, 29 — Alberto, włoski narciarz-zjazdowiec, 31 — karty, które szuler chowa w rękawie, 32 — babiloński bóg nieba, 34 — czynny wulkan na Mindanao, 35 — wieloryb.

Po rozwiązaniu krzyżówki należy odczytać hasło, przysłowie, które tworzą litery w kratkach oznaczonych w prawym dolnym rogu cyframi od 1 do 26:

.....) (.....)
1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15

.....) (.....) (.....)
16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26

Krzyżówka nr 23/95

Rozwiązania (samo hasło) prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru, na kartkach pocztowych z naklejonym kuponem.

BOŻENA CHMIELEWSKA

Wśród Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania rozlosujemy nagrody ufundowane przez Przedsiębiorstwo Innowacyjno-Wdrożeniowe GERDA II: ● zamek elektroniczny Tytan ZE-1 ● zamek Tytan ZX.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 19: *„Błędy — to droga do prawdy".*

Nagrody ufundowane przez Przedsiębiorstwo Innowacyjno-Wdrożeniowe GERDA II wylosowali: zamek elektroniczny Tytan ZE-1 — **Dariusz Rykała** z Rzeszowa, zamek Tytan ZX — **Wiesław Chorobiński** z Torunia.